

Jacek Ladorucki

Gdy otworzyli bramy, zaczęłam iść w stronę domu...

Rozmowy
z Joanną Muszkowską-Penson



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Gdy otworzyli bramy, zaczęłam iść w stronę domu...

Rozmowy
z Joanną Muszkowską-Penson



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Jacek Ladorucki

Gdy otworzyli bramy, zaczęłam iść w stronę domu...

Rozmowy
z Joanną Muszkowską-Penson

Jacek Ladorucki – Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny
Katedra Informatologii i Bibliologii, 90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

RECENZENT

Hanna Tadeusiewicz

REDAKTOR INICJUJĄCY

Urszula Dzieciatkowska

OPRACOWANIE REDAKCYJNE

AGENT PR

SKŁAD I ŁAMANIE

AGENT PR

KOREKTA TECHNICZNA

Leonora Wojciechowska

PROJEKT OKŁADKI

Katarzyna Turkowska

Na okładce wykorzystano zdjęcie z *Agencji Fotograficznej Kosycarz Foto Press KFP*
Fot. Maciej Kosycarz / KFP

Wszystkie ilustracje w tekście, jeśli nie oznaczono inaczej, pochodzą
z archiwum domowego Joanny Muszkowskiej-Penson

Podziękowania dla Zbigniewa Gruszki i Magdaleny Kostrzewskiej
za pomoc techniczną podczas przygotowywania książki

© Copyright by Jacek Ladorucki, Łódź 2016

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2016

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.07181.15.0.M

Ark. wyd. 6,0; ark. druk. 11,375

ISBN 978-83-8088-269-0

e-ISBN 978-83-8088-270-6

<https://doi.org/10.18778/8088-269-0>

SPIS TREŚCI

WSTĘP. Moje pierwsze spotkanie	7
CZĘŚĆ I. Życie po obozie.....	9
CZĘŚĆ II. Przedwojenny świat	21
CZĘŚĆ III. Jan Muszkowski – ojciec	37
CZĘŚĆ IV. Jakub Penson – mąż.....	57
CZĘŚĆ V. Lata szkolne. Wybuch wojny	63
CZĘŚĆ VI. Ravensbrück	79
CZĘŚĆ VII. Praca w hospicjum.....	101
CZĘŚĆ VIII. Przyjaźń	109
CZĘŚĆ IX. Biuro Lecha Wałęsy	117
CZĘŚĆ X. „Solidarność”	135
CZĘŚĆ XI. Starość	149
Przypisy	163

WSTĘP

Moje pierwsze spotkanie...

...z Joanną Muszkowską-Penson odbyło się 15 kwietnia 2011 roku, kiedy zbierając materiały dokumentacyjne na temat jej ojca, Jana Muszkowskiego, wybitnego księgoznawcy, społecznika, profesora Wolnej Wszechnicy Polskiej i jednego z organizatorów Uniwersytetu Łódzkiego po wojnie, trafiłem, wraz z kolegą mgr. Zbigniewem Gruszką, do Kancelarii Lecha Wałęsy w Gdańsku.

Więzi rodzinne i emocje nie pozwalają separować faktów i oddzielać od siebie wydarzeń na życzenie pytającego, dlatego we wspomnieniach wątki z życia Jana i Joanny Muszkowskich przeplatały się dość często i uzupełniały nawzajem, bowiem wspomnianie innych jest przecież refleksją nad samym sobą. Nie wiadomo, od jakiego momentu, pytania o życie ojca i córki stały się tak samo istotne, a rozmowa zamieniła się w obszerny wywiad z Joanną Muszkowską-Penson o jej sposobie widzenia świata, przeżyciach i obecnej pracy. Przystępując do rozmowy, nie wiedziałem o niej prawie nic, poza tym, że była lekarzem i tłumaczem Wałęsy w czasach solidarnościowych. Rozpocząłem bez obciążeń, nie przeczuwając, jakie odpowiedzi mogą przynieść sformułowane na gorąco pytania. Poznawałem człowieka i uczyłem się słuchać. Od początku przykuwała uwagę egzystencjalna refleksja rozmówczyni – głos człowieka innych czasów, innej wrażliwości i wychowania. Wszystko to budziło ciekawość.

Pani Profesor przez całe życie była lekarzem z powołania, pracowała dla innych, bo to obiecała sobie, kiedy cudem przeżyła niemiecki obóz koncentracyjny. Angażując się społecznie, ukrywała w swoim mieszkaniu działaczy opozycyjnych, rozdawała lekarstwa i sprzęt medyczny w parafii św. Brygidy w Gdańsku, organizowała wraz z ks. Eugeniuszem

Dutkiewiczem pierwsze w Polsce hospicja domowe, otaczała opieką lekarską potrzebujących. Należała do pokolenia brutalnie doświadczonego przez wojnę i nigdy nie wymazała wojny z pamięci, ale nie straciła też wiary w ludzi, w przyjaźń i świat oparty na wartościach. Nie nosi w sercu urazy za to, jak wojna ukształtowała jej życie. W którymś momencie wyznała: „już po wszystkim, mam zadowolenie, że to przeżyłam”.

Joanna Muszkowska przez całe życie pozostawała jakby na ubożu, na drugim planie wydarzeń, a jednocześnie odgrywała w nich niezwykle ważną rolę. Na tym polega Jej wyjątkowość. Od najmłodszych lat wzrastała w intelektualnej atmosferze profesorskiego domu, w czasie wojny działała w konspiracji, ale wkrótce trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie wraz z Wandą Póltawską, Stanisławą Schöneman-Łuniewską, Wandą Kiedrzyńską, Urszulą Wińską, Mają Berezowską, Marią Hiszpańską-Neumann i innymi przeżyła długie cztery lata. Po wojnie, w Gdańsku, już jako lekarz, u boku męża, wybitnego internisty, Jakuba Penson, specjalizowała się w nefrologii, a jednocześnie angażowała się społecznie i działała na rzecz opozycji politycznej, obok Lecha Wałęsy, ks. Henryka Jankowskiego, Jacka Taylora, wśród robotników w stoczni. Nigdy jednak nie miała pokusy, by zostać politykiem. Obecnie, w dziewięćdziesiątym piątym roku życia, Pani Pensonowa pracuje – *pro bono* – w Biurze Lecha Wałęsy.

Poznanie Pani Profesor było odkrywaniem człowieka wielkiej otwartości, dobroci i życzliwości. Tego wszystkiego doświadczałem goszcząc kilkakrotnie w Jej domu w Sopocie od kwietnia 2011 do maja 2012 roku – i za to doświadczenie dziękuję!

Jacek Ladorucki

CZĘŚĆ I

Życie po obozie

*Uszczypnij mnie,
bo nie wiem, gdzie jestem...*

(Rozmowa odbyła się 15 kwietnia 2011 w Biurze Lecha Wałęsy w Gdańsku)

Jacek Ladorucki: ...

Mieszkałam w Łodzi od roku 1945, gdy wróciłam z obozu, do roku 1950, wtedy dostałam nakaz pracy do Akademii Medycznej w Gdańsku. To były czasy, kiedy otrzymywało się nakazy pracy. W Łodzi mieliśmy taką przyspieszoną medycynę, zaczynaliśmy zaraz jak skończyła się wojna. Przyjechałam w czerwcu i od razu rozpoczęłam studia. A od następnego roku akademickiego przyszedł już nowy nabór i z nami musieli coś zrobić, więc przenieśli nas „umownie” na drugi rok. Nie byliśmy jeszcze w pełni na drugim roku, ale nie byliśmy też na pierwszym. Byliśmy gdzieś po drodze, nadrabialiśmy zaległości... Wobec tego w 1949 r. skończyłam medycynę, a potem pojechałam do Gdańska.

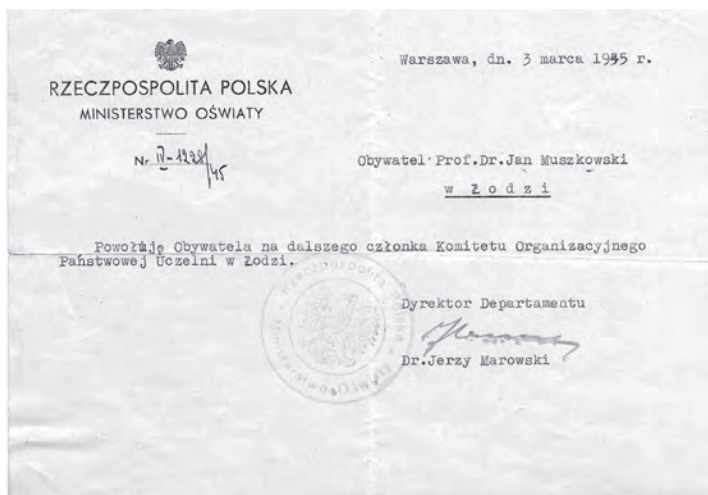
Czy ówczesna władza nie utrudniała przedwojennej inteligencji rozpoczęcia studiów medycznych?

Mój ojciec był wtedy profesorem nowego uniwersytetu w Łodzi, więc – nie wiem tego – może częściowo przez protekcję? Chociaż wtedy przyjmowali jeszcze wszystkich chętnych. Ludzie wracali różni: z kazamatów, z lasu, goli, bosi. Myślę, że nawet nie było rozeznania. Przyjmowali wszystkich, którzy się zgłosili. Potem, w następnych rocznikach, było na Uniwersytecie Łódzkim jeszcze więcej studentów. Ciągle skądś wracali, przyjeżdżali...

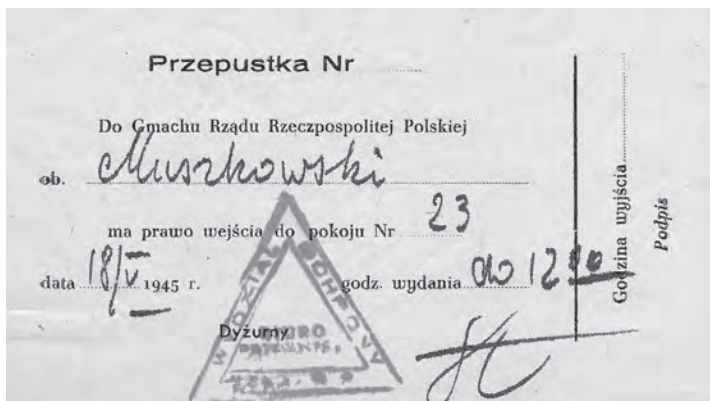
Łódzki rozdział nie był jednak długi. Wkrótce nastąpiło rozstanie z polskim Manchesterem. Jakie było pierwsze wrażenie po przyjeździe do Gdańska?

Muszę powiedzieć, że byłam oczarowana Wybrzeżem. Trójmiasto było zawsze wolne ze względu na morze, na statki, które przyplwały, a z nimi ludzie. Mieliśmy tu od początku o wiele lepszy kontakt

ze światem, anizeli w głębi Polski, gdzie wszystko powoli się zamykało. Myślę, że dlatego „Solidarność” powstała w Gdańsku.



Ryc. 1. Ministerialne powołanie J. Muszkowskiego na członka organizatora UŁ (1945 r.)



Ryc. 2. Przepustka do Urzędu Rady Ministrów (1945 r.)

Jak rodzice reagowali na Pani sukcesy zawodowe?

Mój ojciec był bardzo dumny ze mnie. Gdy napisałam pierwszą pracę medyczną, którą wydrukowano w tygodniku lekarskim¹, ojciec był bardzo szczęśliwy, wszystkim się chwalił. Potem wysyłałam mu zawsze zaproszenia, gdy wygłaszałam publiczne referaty. Z ojcem byliśmy – trzeba powiedzieć – bardzo blisko. Od wczesnego dzieciństwa był moją wielką miłością. Kochałam go i podziwiałam zawsze.

Czy rodzice odwiedzali Panią w Gdańsku?

Tak, albo ojciec przyjeżdżał do mnie, albo ja jeździłam do Łodzi. Miałam to szczęście, po powrocie z obozu, zastać ich oboje przy życiu. Matka miała złośliwą anemię, ale ojciec był w pełnej aktywności.

Zaangażowanie Jana Muszkowskiego w organizację nowej uczelni było ogromne...

W 1945 r. ojciec należał do grona tych osób, które tworzyły Uniwersytet Łódzki z niczego, na bazie Wolnej Wszechnicy Polskiej². W Warszawie urzędowało Ministerstwo Edukacji, zarządzane w totalitarny sposób – wszystkie decyzje ministerstwa trzeba było odbierać osobiście, nie funkcjonowała komunikacja, profesorowie jeździli otwartymi przyczepami samochodowymi. To przecież kosztowało życie Teodora Viewegera, który był jednym z najważniejszych organizatorów Uniwersytetu³. Profesor zginął tragicznie. Widział to mój ojciec i prof. Borys Łapicki⁴ (ojciec znanego aktora, Andrzeja Łapickiego). Jechali do Warszawy, ich samochód nagle zahamował, Vieweger spadł i zginął na miejscu.

Pierwszym rektorem był profesor Tadeusz Kotarbiński; był niezwykle przystojny, z sumiastym wąsem, szczupły i bardzo wysoki, wtedy już siwy. Na naszym pierwszym balu, który się odbył na początku roku akademickiego, a był to w ogóle początek uniwersytetu, w pierwszej parze tańczył poloneza z jakąś ładną dziewczyną i wyglądał zupełnie tak, że tylko mu pasa słuckiego brakowało w tym tańcu.

**POWSZECHNE
WYKŁADY UNIWERSYTECKIE**

Uniwersytet Łódzki organizuje w bieżącym roku akademickim cykl Wykładów
Powszechnych poświęcony charakterystyce

zawodów i specjalności naukowych

do których można zdobyć przygotowanie w ramach studiów uniwersyteckich.
Cykl ten obejmuje przedmioty następujące:

Bibliotekarz Biolog Chemik Farmaceuta Filozof Fizyk Geograf Historyk Językoznawca	Lekarz Matematyk Pedagog Polonista Pracownik społeczny Prawnik Psycholog Socjolog
--	--

Program na luty i marzec

Data wykładu	P r e z e n t	Temat wykładu
Dnia 9 lutego	Prof. Dr Tadeusz Kotarbiński	Filozof
Dnia 16 lutego	Prof. Helena Radlińska	Pracownik społeczny
Dnia 23 lutego	Dr Jan Szczepański	Socjolog
Dnia 2 marca	Z. Prof. Dr Juliusz Saloni	Polonista
Dnia 9 marca	Prof. Dr Jan Dylak	Geograf
Dnia 16 marca	Prof. Dr Marian Grotowski	Fizyk
Dnia 23 marca	Prof. Dr Marian Serejski	Historyk
Dnia 30 marca	Prof. Borys Łapicki	Prawnik

Wykłady odbywają się w niedzielę o godzinie 12-ej
w Auli Uniwersytetu Łódzkiego przy ul. Narutowicza 68

WSTĘP WOLNY

**POWSZECHNE
WYKŁADY UNIWERSYTECKIE**

Uniwersytet Łódzki organizuje w bieżącym roku akademickim cykl Wykładów
Powszechnych poświęcony charakterystyce

zawodów i specjalności naukowych

do których można zdobyć przygotowanie w ramach studiów uniwersyteckich.
Dotychczas odbyły się wykłady następujące:

Prof. Dr T. Kotarbiński, Filozof Prof. H. Radlińska, Pracownik społeczny Dr J. Szczepański, Socjolog Z. Prof. Dr I. Saloni, Polonista	Prof. Dr J. Dylak, Geograf Prof. Dr M. Grotowski, Fizyk Prof. Dr M. Serejski, Historyk Prof. B. Łapicki, Prawnik
--	---

Program na kwiecień, maj i czerwiec

Data wykładu	P r e z e n t	Temat wykładu
Dnia 13 kwietnia	Prof. Dr Edziszew Stieber	Językoznawca
Dnia 20 kwietnia	Prof. Dr Jan Samurlo	Lekarz
Dnia 27 kwietnia	Prof. Dr Robert Rzembiński	Farmaceuta
Dnia 4 maja	Prof. Dr Jan Mazowski	Bibliotekarz
Dnia 11 maja	Prof. Dr Albert Dryjak	Psycholog
Dnia 18 maja	Prof. Dr Leszek Pawłowski	Biolog
Dnia 1 czerwca	Prof. Dr Antoni Omachowski	Chemik
Dnia 8 czerwca	Prof. Dr Stanisław Messer	Matematyk
Dnia 15 czerwca	Prof. Dr Sergiusz Hessen	Pedagog

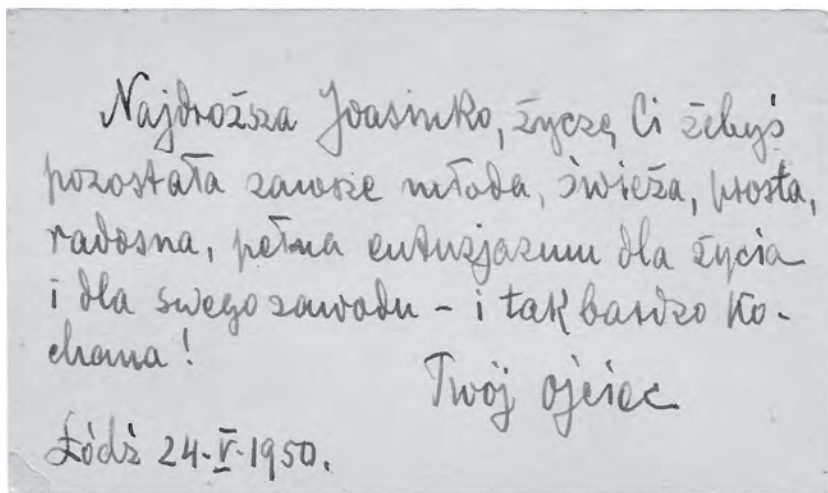
Wykłady odbywają się w niedzielę o godzinie 12-iej
w Auli Uniwersytetu Łódzkiego przy ul. Narutowicza 68

WSTĘP WOLNY

Ryc. 3. Plakaty upowszechniające wykłady na UŁ (1945 r.)

Wydaje mi się, że Łódź zdążyła Pani zapisać w serce?

Tak, zdecydowanie. Miałam niesamowity powrót do Łodzi. Z obozu w Ravensbrück wróciłam na piechotę. Moi rodzice od końca 1943 r. przebywali w Ojrzeńowie pod Warszawą, u państwa Stefania i Stefana Dziewulskich, również profesorów Wolnej Wszechnicy Polskiej. Mój ojciec miał w tymże roku drugi zawał serca; pierwszy jeszcze przed wojną. W związku z chorobą był dodatkowo zagrożony. Poza tym rodzice w czasie okupacji nie mieli żadnych dochodów, nie mieli z czego żyć. Zostali przyjęci przez zaprzyjaźnionego profesora Dziewulskiego, dostali mieszkanie dla nauczycieli przy nieczynnej szkole. A niedługo potem wspólnie z gospodarzami uruchomili komplety gimnazjalne.



Ryc. 4. Kartka Jana Muszkowskiego do córki po ukończeniu studiów medycznych (1950 r.)

Dlaczego zapamiętała Pani ten adres?

Wyjechali na wieś, ponieważ ojciec potrzebował spokoju. Dziwulski jako przyjaciel udzielił rodzicom azylu. Zapamiętałam adres dlatego, że otrzymałam go w ostatnim obozowym liście od ojca. Wcześniej z Ravensbrück wysyłałam listy na warszawski adres. Mam tę korespondencję, pokażę Panu.

Wcześniej na Koszykową?

Nie, ponieważ po wkroczeniu Niemców ulica Koszykowa weszła w skład dzielnicy niemieckiej i wszyscy zostali wysiedleni. Moi rodzice przenieśli się na Tamkę. Na ten adres pisałam do ojca, później dopiero przysłali mi adres w Ojrzeńcu. Gdy otworzyli bramy Ravensbrück, zaczęłam iść w stronę domu, chciałam dotrzeć do Ojrzeńca. Dotarłam z wielkim trudem i myślałam, że ich tam zastanę... Ale okazało się, że rodziców już tam nie ma, że ojciec jest w Łodzi.

Dotarł do Łodzi 3 marca 1945 roku, wysiadając z ciężarówki przed Grand Hotelem na Piotrkowskiej⁵.

Tak, zaś bramy Ravensbrück otworzyli pod koniec kwietnia. Potem szliśmy do granicy piechotą. Byliśmy w pasiakach, brudne, kompletnie wyniszczone. Kiedy przyjechałam do Łodzi, dowiedziałam się, że ojciec ma pokój w Grand Hotelu, tak jak wszyscy organizatorzy Uniwersytetu Łódzkiego⁶. Tam też poszłam. Można sobie wyobrazić, jak wyglądałam w tym pasiaku w Grand Hotelu, gdzie wszystko było niezniszczone, czerwony dywan... Portier, bardzo elegancko ubrany wyrzucił mnie. Gdy powiedziałam, że do ojca, do profesora Muszkowskiego, odpowiedział: nie ma, wyjechał do Warszawy! Takie było moje przywitanie z Łodzią.

Potem, gdy ojciec wrócił, wszystko zaczęło się układać. Odnalazłam swoją koleżankę szkolną i przyjaciółkę, zresztą już nieżyjącą niestety, Helenę Kościakiewicz, również lekarkę. Zmarła w Gdańsku ok. 1960 r. na nierozpoznaną gruźlicę. Z Helenką poszłam na pierwszy wykład uniwersytecki, a było to jakieś dwa-trzy tygodnie po moim powrocie z obozu. Wtedy powiedziałam do niej: „uszczypnij mnie, bo nie wiem gdzie jestem. Nie mogę pojąć, że to jest realne życie”. I rzeczywiście ona mnie uszczypnęła i powiedziała: „wiesz, to jest niesamowite, że siedzimy tu razem”.

Potem się przywiązałam do Łodzi, bo zaczęło się normalne życie, aczkolwiek bardzo biedne, nie mieliśmy nic. Wszystko zostało zniszczone w Warszawie, przepadło. Doskonale pamiętam, że na kartki dostawało się wtedy jeden bochenek chleba. Ale ja, po pobycie w obozie, byłam tak wygłodniała, że ten bochenek zjadałam po drodze do domu i nic nie zostawało dla reszty rodziny. Pieniądze, które ojciec zarabiał, zupełnie nie wystarczały, by wykarmić mnie i pozostałych. Przeżywalismy straszliwą biedę. Moja matka próbowała, co było modne wtedy, piec ciastka i sprzedawać w najbliższej cukierni. Ale nie była nigdy uzdolniona kulinarnie, ciastka się nie udawały i nim je donosiła do cukierni rozpadały się. Wielkich pieniędzy nie mogła na tym zarobić. Ja byłam ustawicznie głodna, ale już nie tak jak w obozie.

Op. 3-I-45 Radlińska H.

Drogi Paniu, dziękuję za kartkę. Rozmawiałam
z Siostrą Klawkowską i sądzi, że byłoby
najlepiej do niej się zgłosić. S. Proctorowa ostatnio
długo chorowała, stąd trudności porozumienia
się z nią.

Gdyś się znacznie lepiej, dawilowo mówu
cierpie na przypadkowe powstania (cyfry i
kragami). Brak mi książek. Najbardziej potrzebne
ubrania już zdobyłam. Jestem wśród ludzi
cyfrowych i b. dla mnie dobrych (z Stawisławsko, 5)
Czy Joanna próbuje? P. Tłaczka w „Oflagu”,
wielu ścisłych odwołaniach, wielu jednak
zginęło.

Serdечно pozdrawienia Olegowi
Pawłowi zapytań

H. Radl.

23 XI 44

Ryc. 5. List Heleny Radlińskiej do J. Muszkowskiego (1944 r.)

Gdzie Państwo mieszkali w Łodzi?

Mieszkaliśmy na ulicy, która najpierw nazywała się Trębacka, a potem została przemianowana na Uniwersytecką. Budynek obok, gmach szkoły kupieckiej, został jako pierwszy oddany Uniwersytetowi na rektorat, a wraz z nim domek na Trębackiej za rogiem. Tam mieszkali profesorowie – na trzecim piętrze ówczesny rektor Uniwersytetu Tadeusz Kotarbiński. My mieszkaliśmy na pierwszym albo drugim piętrze. Tam też mieszkała znana profesor Helena Radlińska. Wszyscy profesorowie, razem z moim ojcem, mieli tam mieszkania, wszyscy też mieli salę – jeden pokój – gdzie prowadzili seminaria.



Ryc. 6. Przed wejściem do domu z lat 1945–1950, 12 maja 2013 r. Łódź, ul. Uniwersytecka 3 (d. Trębacka). Fot. J. Ladorucki

Czy Pani brat również wrócił do Łodzi?

Nie, nie wrócił nigdy do Łodzi. Krzysztof miał przygody równie ciężkie jak ja – siedział w więzieniu w Rosji. Przed wojną rozpoczął studia, gdy zaczęła się wojna, zgłosił się na ochotnika i dostał przydział do Wojskowego Instytutu Geograficznego (WIG)⁷. Przyszedł do domu w mundurze i to był ostatni raz, kiedy go widzieliśmy w Warszawie. Chciał się z nami tylko pożegnać. Mieszkaliśmy wtedy właśnie na Koszykowej. Cały WIG pakowano i ewakuowano – wszyscy wychodzili na Wschód – bo Warszawa miała być miastem niebronionym. Mój brat dostał się do Wilna. I właśnie w Wilnie był w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ)⁸. Tam został aresztowany przez Sowieców i uwięziony. Podobno – on bardzo mało o tym mówił – miał wyrok śmierci, w każdym razie siedział w jakiejś podmokłej piwnicy aż do momentu, gdy mógł dołączyć do Armii Andersa, z którą potem przedostał się do Wielkiej Brytanii i latał jako nawigator w polskiej eskadrze, w *Royal Air Force*. Walczył w czasie Bitwy o Anglię, a po wojnie nigdy nie chciał wracać⁹.

Brat spotkał się raz z ojcem, gdy ten wyjechał na zjazd bibliotekarzy, nie pamiętam dokładnie gdzie...

W 1949 roku odbył się zjazd *The International Federation of Library Associations and Institutions* (IFLA) w Bazylei...

Tak, to było w Szwajcarii. Wtedy Krzysztof przyjechał tam, żeby zobaczyć się z ojcem. Po powrocie, pamiętam, tato stwierdził, że nie miał sumienia namawiać go, żeby wracał. Brat powiedział, że zamierza zostać na emigracji aż do czasu, gdy sytuacja w kraju się zmieni. Tak więc żył w poczuciu tymczasowości. Wynajmował mieszkanie z kolegą z czasów wojny, także lotnikiem. Potem wrósł już tam, ożenił się z Polką, Izabelą Łucją Blauth, zresztą jego koleżanką z lekcji tańca z Warszawy, urodzili mu się dwaj synowie. Jego żona jeszcze po wojnie pracowała w Ambasadzie Brytyjskiej w Warszawie jako tłumaczka, potem uciekła na Zachód. Ambasada okazała się przyzwoita w stosunku do swoich urzędników, ewakuując się z Warszawy wraz z nimi. W ten sposób znalazła się w Londynie i została moją szwagierką.

Podobno terażniejszość jest kluczem do przeszłości... Czy teraz Pani Profesor częściej myśli o tym, co było, czy o tym, co będzie?

Co będzie to, wie Pan, dla mnie w dziewięćdziesiątym roku życia, jest troszkę zamknięte. W moim życiu jest najważniejsza terażniejszość, bo uważam, że człowiek powinien żyć tak długo, jak może być przydatny. Dla mnie właściwie najważniejsza jest jakakolwiek jeszcze przydatność...

Dlatego wydaje mi się, że jak jestem tutaj, w tej terażniejszości, gdy obserwuję tę okropną politykę, ordynarność, która panuje w życiu publicznym, to myślę sobie, że zmagam się z tym wszystkim, żeby pomóc mojemu Szefowi. Bo wiem, że przydatność właśnie jest najważniejsza dla człowieka.

Jaka jest Pani rola teraz w Kancelarii Prezydenta Wałęsy?

Obecnie w kancelarii zajmuję się korespondencją, głównie zagraniczną i dotyczącą „Solidarności” oraz dokumentowaniem dzieła Lecha Wałęsy. Poza tym przyjaźnię się z nim od czasów zrywu „Solidarności”, gdy byłam jego lekarzem. Pracuję u Lecha już 12 lat.

CZĘŚĆ II

Przedwojenny świat

...ja właściwie urodziłam się i wychowałam w bibliotece

(Rozmowa odbyła się 16 kwietnia 2011 roku w Biurze Lecha Wałęsy w Gdańsku)

Chciałbym jednak wrócić do historii. Jakie są Pani najstarsze wspomnienia związane z domem rodzinnym?

Najstarsze wspomnienia są związane z tym, że mieszkałam w Bibliotece i Muzeum Krasińskich w Warszawie. Mój ojciec był tam dyrektorem i właściwie stworzył tę instytucję¹⁰. Wspaniałe muzeum ze zbiorami rodziny Krasińskich: cenne obiekty, miecze, zbroje, a poza tym niezwykle księgozbiór z inkunabułami, manuskryptami należącymi do Zygmunta Krasińskiego. Ojciec zajmował się porządkowaniem tej kolekcji. Potem w czasie wojny cała biblioteka spaliła się, a wraz z nią dzieło życia mojego ojca, kontynuacja *Bibliografii Polskiej* Karola Estreichera za lata 1901–1925¹¹. W samym pałacu mieściło się muzeum, a na tyłach, na Okólniku, był magazyn, po lewej stronie znajdował się budynek, w którym mieszkał Ordynat Krasiński, a po prawej – inny jeszcze budynek mieszkalny, w którym na pierwszym piętrze mieszkaliśmy my i urzędnicy, pracownicy biblioteki. No więc ja właściwie urodziłam się i wychowałam w bibliotece.



Ryc. 7. Biblioteka Ordynacji Krasińskich w Warszawie (1930 r.)

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-K-675-5

Kto by nie chciał mieć takiego zapisu w metryce?

I dlatego też, i ze względu na mojego ojca, z którym byłam bardzo blisko, mam sentyment do bibliotekarzy, uważam ich za ludzi specjalnych: wrażliwych i życzliwych.

Jaka była atmosfera w domu rodzinnym? Czyż żył ten dom przed wojną?

Jak wyglądało życie środowiska inteligenckiego przed wybuchem wojny i w jej trakcie? Aby to wytłumaczyć i przybliżyć klimat tamtego okresu, muszę cofnąć się w czasie. Zacytuję prof. Barbarę Skargę „(...) pojęcie inteligencji – zrodzone w XIX wieku, charakterystyczne nie tylko dla Polski, może nawet bardziej dla Rosji – dziś straciło swój sens (...) kiedyś była to warstwa ludzi, która (...) już od lat 30. XIX stulecia zdobywała sobie coraz większe znaczenie – i to nie ze względu na swój status ekonomiczny, gdyż na ogół nie była zaможна. Wówczas jednak, jak się wydaje, społeczeństwo polskie żywiło większy kult dla talentu i wiedzy niż dla pieniędzy. Toteż ranga inteligencji rosła. Uznała ona za własne ideały oświecenia i usiłowała je krzewić. A jednocześnie dbała o przetrwanie narodu, żywiąc pragnienie odbudowy państwa. Nigdy też nie traciła z oczu wartości kultury, dobrze rozumiejąc, że od nich zależy ciągłość istnienia narodu. Starała się je rozwijać w ścisłym kontakcie z krajami Europy, gdyż rozumiała, że po utracie niepodległości narodowi grozi zarówno zachwianie tożsamości, sprzyjające obskurantyzmowi i zakopaniu się w zaścianku historycznych pamiątek, jak też głębokie zacofanie cywilizacyjne (...) Taka była inteligencja jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym. Otwarta, laicka, tolerancyjna, najczęściej piłsudczykowska, z sympatiami lewicowymi. W owym czasie odgrywała poważną rolę opiniotwórczą. Jej promineneci byli inicjatorami i organizatorami rozmaitych akcji społecznych. Dość wymienić kilka nazwisk: Leon Petrażycki, Marian Zdziechowski, Stefan Czarnowski, Stanisław Ossowski, Florian Znaniecki, cała szkoła lwowsko-warszawska, Tadeusz Boy-Żeleński z jego wspianą biblioteką przekładów, Stanisław Ignacy

Witkiewicz”¹². Tyle profesor Skarga, celem przypomnienia. Dla mnie, która wstąpiłam do gimnazjum państwowego w 1931 roku, środowisko inteligenckie, w którym się urodziłam i wychowywałam, oznaczało ludzi wykształconych, pracujących intelektualnie, znających biegle dwa–trzy języki europejskie i literaturę oraz sztukę tych krajów, a także łacinę i grekę.

Atmosfera naszego domu była po prostu intelektualna. Podczas przyjęć rozmowy dotyczyły aktualnego życia kulturalnego, premier teatralnych, oraz nowej literatury zachodniej, którą wszyscy czytali w oryginale. Pamiętam zażarte dyskusje dotyczące, właśnie wychodzących we Francji kolejnych tomów Marcela Prousta *A la recherche du temps perdu*. W owym czasie wszyscy czytali Prousta w tłumaczeniu Boy’a, ale niektórzy jeszcze chętniej w oryginale. Właściwie czytano całą literaturę światową – czy to po francusku, czy po angielsku. W ogóle muszę powiedzieć, pan jest dydaktykiem, ja też zresztą, że ludzie, w pokoleniu mojego ojca, byli o wiele gruntowniej i wszechstronniej wykształceni, chociaż podręczniki były cieńsze. Znali przede wszystkim łacinę, grekę i mogli się nią, rzeczywiście, posługiwać. Znali języki nowożytne: francuski, niemiecki, rzadziej angielski. Mój ojciec swobodnie posługiwał się i angielskim, i francuskim, i niemieckim. Ludzie doskonale byli zorientowani w całej wiedzy, która wtedy była dostępna. Także moi rodzice, jeżeli chodzi o nauki ścisłe, czy przyrodnicze, zawsze byli *au courant*. Moje pokolenie, niestety, zostało wykształcone już o wiele gorzej.

Kwitło życie towarzyskie. Boy-Żeleński, wtedy mieszkający w Warszawie, miał tak zwane *jour-fixe* (żurfiksy), regularne spotkania o umówionej porze; teraz już tego nie ma... To był taki dzień, kiedy przyjmował gości, wszystkich, do których wysłał wcześniej zaproszenie. Z reguły na początku sezonu, w styczniu rozsyłał zawiadomienia, że *jour-fixe* będą odbywały się w czwartki, powiedzmy, w godzinach od 17 do 19. Moi rodzice chodzili do Boya tego dnia, a potem czasem opowiadali, jak to się odbywało. Żeleński przeważnie siedział w fotelu i czytał jakąś książkę. Wciąż przychodzili nowi goście i rozmawiali, rozmawiali (*śmiech*), Gospodarz jednymi interesował się bardziej, innymi mniej, ale książki nigdy na długo nie odkładał...

No, a u nas w domu prywatnie bywali różni goście, tacy jak Kaden-Bandrowski, czy inni ówcześni pisarze, którzy mieli interesy do ojca, potrzebowali różnych informacji, bo on był taką encyklopedią i w wielu sprawach mógł pomóc, szczególnie tych dotyczących książki i literatury.

Jeżeli mam maj, Huchany ośi
 do porządzenia w tej sprawie, to
 może być bardzo pełniej na dobre
 tego wydawnictwa. A sam na
 niżej podpisa umowy i natu-
 ralnie dać pisarzom. Warunki
 moje są 12% procent do trzech
 jedna trzecia albo połowa poście.
 mniej więcej takie według umowy
 o to tyle co do wydawnictwa.
 Teraz o ośi - Jaśm Tar prze-
 szedł na wydanie ośmiu Hui
 masyżm Mitharaja - Koperuska
 w Towar. Mały's popar, gdzie
 dziełnie i przepisuje moje argu-
 menty o anglijskich nowych ludz-
 e literatury i ośmiu.
 Napisał Moje dwa parę ośi
 o ośi i o rodzinie.
 Proszę o same od dawno
 Tymon Niesiołowski
 Mam już syna na uniwersytecie
 Pruska i widać duży b. Mistrz.
 Hui's mały w Spółce a ośi nie
 nie mały.

Ryc. 8. List Tymona Niesiołowskiego do J. Muszkowskiego (b.d.)

Współcześnie zniknęła ta elitarność. Przedwojenny maturzysta z ówczesnym robotnikiem miał niewielkie pole wspólnych doświadczeń kulturowych. Dziś ich potrzeby są bardzo do siebie zbliżone.

Ja i mój brat byliśmy jedynym pokoleniem, które zaczęło i skończyło naukę w wolnej Polsce, pomiędzy wojnami. Do pierwszej klasy poszłam w 1931 roku, maturę zdałam w maju 1939, w Państwowym Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Warszawie¹³. Była to tzw. „wzorówka” żeńska, a brat u Adama Mickiewicza w Warszawie. Też w gimnazjum państwowym.



Ryc. 9. Państwowe Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Warszawie, lata 30. XX w.

Chciałbym jeszcze nawiązać do *jour-fixe*. Czy takie spotkania odbywały się także w Państwa domu?

Moi rodzice chodzili na takie różne *jour-fixe*, a u nas raczej odbywały się przyjęcia, właśnie dla ludzi nauki i literatury. Muszę powiedzieć, że później, już po wojnie w środowisku medycznym bardzo mi

tego brakowało. Przed wojną ludzie, którzy byli przyjaciółmi i znajomymi moich rodziców, zawsze rozmawiali o nowo wydanych książkach, o bohaterach literackich, jakby ich znali osobiście.

Czy Pani jako młodej dziewczynie pozwalano uczestniczyć w tych spotkaniach?

Raczej gdzieś tam siedzieliśmy w kątku z bratem. Mój brat później próbował pisać. Nawet w gimnazjum, w gazetce szkolnej pt. „Bunt Młodych”.

Czytałem kiedyś jego książkę – zbiór opowiadań – *Parasol londyński*.

Znam te opowiadania. Krzysztof, mimo wieku, cały czas pracuje. W Wielkiej Brytanii wychodzi pismo „Dziennik Polski”, który w środę ma dodatek literacki, a mój brat pisze tam felietony. Ostatnio w listopadzie 2011 r. pisał jeszcze leżąc ciężko chory w szpitalu w Londynie. Mojego brata w bardzo dużym stopniu ukształtowała atmosfera rozmów o książkach, o życiu kulturalnym i artystycznym...

Jak Pan przyjdzie do mnie do domu, to pokażę fotografię mego ojca na otwarciu biblioteki publicznej w Toruniu. Organizatorzy z wielkim entuzjazmem otwierali nową książnicę. Mój ojciec tam przemawiał i stamtąd mam jedną z ostatnich jego fotografii. Parę miesięcy potem już nie żył.

Jak to jest mieć starszego brata?

Mieć starszego brata to sytuacja specjalna: zawsze był przede mną, jemu było dużo wolno, a mnie jeszcze nie. Na przykład, wyjść samemu z domu, załatwić jakąś sprawę. Poza tym jako chłopiec miał też w owych czasach szereg uprawnień, które mnie nie przysługiwały. No i obiektywnie trzeba przyznać: był inteligentniejszy, zdolniejszy, na przykład drukowano jego teksty już w czasach gimnazjalnych, i był dużo ładniejszy. Nie powiem, że nie wywoływało to u mnie kompleksów, ale pamiętam do dziś, jak moja mama przedstawiała nas spotkanej

przyjaciółce: „To jest mój syn, a to moje brzydactwo”. Byłam rzeczywiście błąda, chuda i jak określali niektórzy niedemokratycznie: „Jak córka stróża z suteryny” (*śmiech*).

Krzysztof już w gimnazjum prowadził aktywną działalność literacką, lecz miał okropne kłopoty z matematyką, która była dla niego zupełną abstrakcją. Aby otrzymać oceny dostateczne, musiał liczyć na pomoc koleżeńską. Służyłam mu jako *postillon d'amour*, dostarczając jego listy do mojej koleżanki z klasy, Krysi Woyzbun, w której się zakochał. Gdy zdał maturę (rok 1938) w gimnazjum odbywał się bal. Po raz pierwszy zrobiłam bratu kawał: dostałam od innego chłopca (Leszka Bartelskiego) zaproszenie i nie powiadamiając Krzysztofa, pojawiłam się na balu. Był na mnie zły. Zawsze miałam wrażenie, że traktował mnie tylko jak młodszą siostrę. Zmieniło się to dopiero w latach 90., kiedy przyjechał do Polski i odwiedził mnie w Belwederze, jako lekarza Lecha Wałęsy – wtedy po raz pierwszy zdołałam mu zaimponować.

Na całe życie zapamiętałam pamflety napisane na każdego maturzystę i odczytane na tym balu. O przyszłości Krzysia ktoś napisał:

„20 lat to całe wieki

W nowym rządzie Muszkowski jest ministrem bez teki,

Całe noce hula, wraca zawsze rano,

Jedno go trapi: łysy jak kolano”. (*śmiech*)

Zaraz po wojnie w Londynie odrodziły się „Wiadomości Literackie” Grydzewskiego. Mój brat zaczynał od tego, że został sekretarzem redakcji. Potem „Wiadomości” przestały wychodzić, ale on zawsze pisał do polskiej prasy emigracyjnej¹⁴.

A po wojnie często widywała się Pani z bratem?

Bardzo rzadko. Od stanu wojennego miałam zakaz wyjazdu za granicę. Moja córka widywała go częściej. Anna skończyła medycynę tutaj w Gdańsku i wyszła za mąż za kolegę ze studiów, Marka Dominiczaka, też medyka, trzy lata starszego. W czasie stanu wojennego pojechali do Wielkiej Brytanii, do Glasgow. Nawiasem mówiąc była bardzo dzielna, bo przeżyła tam wszystkie etapy kariery zawodowej i jest profesorem w Szkocji.

Czy Pani ojciec opowiadał jak poznał mamę?

Ha, nie wiem tego. Mój ojciec przyjechał ze studiów w Niemczech w 1918...

Do 1920 roku pracował w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie.

I tam też krótko mieszkali z mamą zaraz po ślubie. Mój brat urodził się, kiedy jeszcze mieszkali w Bibliotece Uniwersyteckiej w 1919, a ja przyszedłam na świat dwa lata później.

Kim była Pani mama, Janina Badior? Czym się zajmowała?

Moja mama nigdy w życiu nie pracowała zawodowo; wtedy kobiety nie pracowały, mówiąc ogólnie, marnowały się w owych czasach. Matka była na studiach w Szwajcarii. Studiowała w okresie, kiedy niektórzy profesorowie na medycynie nie wykładali jak były kobiety na sali. Wyjechała ze swoją koleżanką, Ciaglińską. Wtedy był taki zwyczaj, że jak córka chciała pojechać do Szwajcarii studiować to musiała pojechać z matką. Pani Ciaglińska zostawiła swego męża lekarza w Warszawie, żeby towarzyszyć tym dwóm dziewczynom w podróży, bo było nie do pomyślenia, żeby panna czy dwie panny same wyjechały. No i były tam przez rok, czy dwa. A propos, jak miałam kilkanaście lat i wychodziłam z domu, to musiał mnie odprowadzać mój brat. Ale on straszliwie się tego wstydził i w związku z tym wychodził ze mną z domu, ale potem kazał mi iść po drugiej stronie ulicy... (*śmiech*).

Taki wyjazd do Szwajcarii musiał kosztować fortunę?

Wyjazd był możliwy dzięki pieniądзом mojego dziadka, ojca matki – Marka Badiora. Był to bardzo zdolny i rzutki przemysłowiec, który początkowo w Łodzi pręźnie rozwijał swoje interesy. Po krótkim czasie wyjechał do Chin, gdzie zorganizował i na pewien czas

zmonopolizował transport bawełny dla rozwijającego się przemysłu włókienniczego w Łodzi.

Podobno prowadził interesy z rodziną Scheiblerów¹⁵.

Po zdobyciu w ten sposób pieniędzy, przeniósł się do Warszawy, gdzie na ulicy Senatorskiej utworzył Bank Międzynarodowy, którego był głównym akcjonariuszem. W konsekwencji stał się jednym z najbogatszych ludzi w Warszawie. Posiadał kamienicę w Alejach Ujazdowskich, gdzie balkon podtrzymywały rzeźby herosów a schody były wyłożone czerwonym dywanem.

Posiadał też, jako jeden z pierwszych w Warszawie, samochód Mercedes-Benz i szofera. Niestety, w moim dzieciństwie, wiele osób z rodziny, a nawet modny wówczas pies terrier, dostawało choroby morskiej w samochodzie, a więc powroty z wycieczek były niewesołe. Dziadek wierzył w moc pieniądza i jego najwyższą wagę.

Dziś może nikogo by to nie dziwiło, ale wówczas było dziwne, że mój ojciec – intelektualista, romantyk, bez grosza, na marnej posadzie państwowej – nie mógł znaleźć uznania u dziadka, który nie pozwalał mamie, również romantycznej i zakochanej bez reszty, na małżeństwo. Gdy jednak się upierała, postanowił odciąć jej dopływ gotówki. Dokładnie było tak, że wypłacił jej posag, ale odmówił dalszej pomocy materialnej, przestrzegając, że życie bez pieniędzy jest nic nie warte. Tak więc moi rodzice, mimo stałych awansów ojca i rozległej pracy publicystycznej i bibliofilskiej, żyli raczej skromnie. Chociaż mieli duży dom, służbę, przyjmowali gości i bywali w towarzystwie, zawsze „nie starczało”. Wynikało to trochę z młodzieńczych przyzwyczajień mamy do życia w bogactwie i nieliczenia się z pieniędzmi.

Czy dziadek i ojciec kiedykolwiek pogodzili swoje racje?

W drugiej połowie lat trzydziestych dziadek, jako senior, zamieszkał z nami pod jednym dachem. Materialnie się poprawiło, lecz głęboka różnica opinii, na każdy temat, między dziadkiem a ojcem nie mogła

nigdy być zniwelowana. Oczywiście wszystko odbywało się na „staroświeckim” poziomie uprzejmości i dysputy, lecz racje obu stron były nie do pogodzenia.

Dziadek zmarł na początku wojny na powikłania cukrzycy, co oszczędziło mu okropności okupacji. Pochowany został na Starych Powązkach razem z babcią Klarą z Simonów Badior, która zmarła ok. 1920 r. (przed moim urodzeniem). Dla niej zbudowano grób rodzinny na Powązkach. Tam też w roku 1973 została pochowana moja matka Janina z domu Badior Muszkowska. Po śmierci dziadka te „pogardzane” przez moich rodziców pieniądze pomogły przeżyć wojnę.

Wspominała Pani kiedyś przy okazji o ciotce, Francuzce z pochodzenia...

Była jedną z osób wpływających na specyfikę i atmosferę naszego domu. Ciotka Zela. Imię Zela było wymyślone przez moją matkę i jej dwóch braci jako dogodny skrót od mademoiselle. Prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Margueritte Seyboriez. Była to rodowita Francuzka, sierota, pochodząca z małego miasta na pograniczu Bretanii i Normandii. W czasie wakacyjnego wyjazdu mego dziadka Badiora z całą rodziną na plażę we Francji (zdaje się że do Deauville), zaangażował on tę młodą Francuzkę do opieki nad dziećmi. Była niewiele starsza od nich. Babcia Klara była już chora na *sclerosis multiplex* (stwardnienie rozsiane) i jej zdrowie pogarszało się szybko. Nie była w stanie zajmować się domem i dziećmi, jeździła na wózku. Moja matka miała wówczas 7 lat, a jej młodsi bracia 5 i 3. Zela miała lat 17. Było to ok. 1900 roku, a więc w okresie *La belle époque*. Wracając z wakacji, zabrali ze sobą Zelę do Warszawy, gdzie w domu dziadka i rodziny spędziła ponad 50 lat. Dopiero komuniści po II wojnie światowej wygnali ją z Polski, żądając aby przyjęła obywatelstwo polskie, rezygnując z francuskiego. A na to ona, jako francuska patriotka – zgodzić się nie mogła. Wyjechała do Francji.

Czy ciotka Zela stała się członkiem rodziny?

Dla nas, przed wojną, stała się bardzo szybko członkiem rodziny. Była ciotką Zelą i nadawała naszemu domowi, jego atmosferze specjalnej barwy, a nam, dzieciom ofiarowała znajomość francuskiego i literatury. Obecnie czytając Andreï Makine'a *Testament francuski* znajdowałam wiele analogii do sytuacji z mego dzieciństwa. Ciotka Zela była bardzo gorliwą, praktykującą katoliczką, obchodzącą uroczyscie wszystkie tradycyjne święta, co też zmieniało nieco laicką atmosferę mojego domu. Była chrzestną matką mego brata Krzysztofa, a więc czuła się zobowiązana do przekazania jemu i mnie swej głębokiej wiary.

Po śmierci dziadka, usamodzielniała się dając lekcje francuskiego, ale w czasach komunistycznych francuski był źle widziany i zarabiać można było tylko dając lekcje rosyjskiego. Ciotka wraz z nami popadła w biedę. W jej przypadku doszedł jeszcze nakaz zmiany obywatelstwa jako warunek pozostania w Polsce. Zgłosiła się więc do ambasady francuskiej, aby wrócić do ojczyzny. Nie miała tam nikogo, żadnej rodziny i była już po sześćdziesiątce, a to na owe czasy było dużo. Zaoferowano jej miejsce w domu starców, ale dość szczególnym. Był to pałacyk ofiarowany Francuzom, którzy spędzili życie za granicą, propagując język i kulturę francuską. Bardzo zawsze tęskniłam do ciotki Zeli. Korespondowałyśmy często i pomimo zamknięcia granic i wielu trudności, udało mi się odwiedzić ją dwukrotnie, głównie w czasie trzymiesięcznego stażu w szpitalu Necker w Paryżu. Tęskniła bardzo za Polską, tak jak i my tęskniliśmy za nią. Zmarła nagle w czasie kolacji, osamotniona, bez nas koło siebie.

Jak zapamiętała Pani mamę?

Moja matka, jak już wspominałam, podobnie jak inne kobiety tego okresu, marnowała swoją inteligencję i wiedzę pozostając w domu, bez pracy zawodowej. W tamtych czasach trzeba było być emancypantką lub uznanym talentem, żeby wyrwać się ze statusu pani domu. Była nałogową czytelniczką i inteligentką znającą języki obce. Jako matka była

kochająca i wyrozumiała dla naszych emocji, a nawet wariactw. W czasie wojny wykazała się dużą odwagą, nie bacząc na nic pomagała innym. Po wojnie rozumialiśmy się jak dwie kobiety...

Jakie studia mama ukończyła w Szwajcarii?

Była na filozofii. Chyba ich nie ukończyła, ale studiowała tam, na uniwersytecie w Lozannie. No i co mogę jeszcze powiedzieć? Po wojnie usiłowała pracować. Tłumaczyła jakieś dzienniki, czy pamiętniki Goethego z niemieckiego na polski. Nie wiem, czy to kiedykolwiek wyszło. Tłumaczyła razem z przyjacielem domu, panem doktorem Aleksandrem Guttrym. To było chyba na zamówienie „Czytelnika”. Zawsze bardzo dużo czytała, często chodzili z ojcem do teatru, na każdą premierę w Warszawie.

Pani matkę wspominał również Roman Jasiński, pisał: „Córka [Marka Badiora], osoba wysoce inteligentna i nader sympatyczna, wyszła za mąż za znanego bibliotekarza i bibliografa Jana Muszkowskiego”¹⁶.

Moja matka była bardzo ładna. Na prywatnej pensji uchodziła za piękną pannę, czego, niestety, mnie nie przekazała w spadku (*śmiech*).

Czy między Pani mamą a tatą występował jakiś kontrast? W sposobie bycia, w zachowaniu, w kontaktach z dziećmi?

Nie. Wie Pan, ja byłam zawsze bliżej ojca, a brat bliżej mamy. I zresztą moje wspomnienia o matce są zaburzone jedną rzeczą. Mianowicie ona chorowała tu u mnie w Gdańsku, strasznie długo i ciężko. Przyjechała, żeby mi pomagać, jak urodziłam dziecko, i dostała udaru mózgu, całkowitego, lewostronnego porażenia. Tak, że już nie wstała z łóżka. I to trwało kilkanaście lat... Szesnaście, siedemnaście lat. Leżała zupełnie nieruchoma, ale miała całkiem jasną głowę, była zupełnie świadoma. Pisała listy, nawet w językach obcych. Była cał-

kowiec sprawna umysłowo przy okropnym kalectwie, które nie pozwalało nawet usiąść. I może dlatego, kiedy o niej mówię i myślę to zawsze widzę ją w tym dramatycznym stanie, jednocześnie pamiętając jej wielką inteligencję, ogromną erudycję... Wywołuje to u mnie wyrzuty sumienia, że nie mogłam jej pomóc, wystarczająco blisko być z nią psychicznie...



Ryc. 10. Joanna Muszkowska pokazuje dyplom immatrykulacyjny Janiny Muszkowskiej z d. Bador, Uniwersytet Warszawski (1917 r.), 17 kwietnia 2011. Fot. Z. Gruszka

Mama umarła w Gdańsku w szpitalu, ale spoczywa w Warszawie, z którą była związana całe życie do wojny. Jest pochowana na Starych Powązkach przy bramie św. Honoraty, w grobie rodzinnym. Tam właśnie chciała spoczywać...

Skoro już o tym mówimy, chciałbym wspomnieć, że grobem Jana Muszkowskiego w Łodzi od kilku lat opiekuje się Uniwersytet Łódzki i studenci informacji naukowej. Co roku, na Wszystkich Świętych, zapalamy tam znicze.

Cieszę się. To pięknie. Ja tam dawno nie byłam, ale mój brat był. To jest ten stary cmentarz katolicki na Ogrodowej?

Tak. W 1995 roku UŁ ufundował nową płytę nagrobną.

Kiedy ojciec zmarł, moja matka była jeszcze w pełni sił. Ojciec był związany z Łodzią, bo choć warszawiak, w Łodzi odzyskał, po strasznej wojnie, warsztat naukowy i wrócił do aktywnego życia.

CZĘŚĆ III

Jan Muszkowski – ojciec

*To był człowiek interesujący się ludźmi,
chcący ich wysłuchać... Ojciec*

(Rozmowa odbyła się 16 kwietnia 2011 w Biurze Lecha Wałęsy w Gdańsku)

Dlaczego ojciec zajął się właśnie badaniami nad książką, miał przecież niezwykle szerokie pole samorealizacji: był germanistą, napisał doktorat o Spartakusie, interesował się chemią... Dlaczego sprawy książki zdominowały jego zainteresowania w pewnym okresie życia¹⁷?

Nie wiem dokładnie. Na pewno uważał, że ma obowiązek szerzenia wiedzy po odzyskaniu niepodległości. Mogło to wynikać też z tego, że jego pierwszą posadą w wolnej Polsce było stanowisko w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Być może tam pokochał bibliotekarstwo?

Profesor Muszkowski zbudował bardzo oryginalną ewolucyjną koncepcję księgoznawczą. Inspirując się filozofią Herberta Spencera, udowadniał że zjawiska książki zmierzają w kierunku doskonałości form i sposobów społecznego oddziaływania. Wydobywał sens kulturowy z przemian form książki. Dał temu wyraz w najważniejszej swojej pracy, w *Życiu książki* (1936)¹⁸.

Ojciec z ducha był pozytywistą. Wynikało to z wychowania i wykształcenia, jakie odebrał. Gdy studiował w Lipsku, znany był pod pseudonimem Munio. Podczas studiów bardzo blisko przyjaźnił się z Karolem Hubertem Rostworowskim, który był moim chrzestnym ojcem. Już wówczas był bardzo znany ze swoich dramatów, zresztą makabrycznych. Bałam się ich. W okresie międzywojennym był sławnym dramaturgim. Miał trzech synów, bardzo zasłużonych dla polskiej kultury: Jana, Marka i Emanuela. Rostworowski był bardzo związany z kościołem, niezwykle religijny.

**Pani ojciec – z przekonania socjalista – miał chyba niewielką
płaszczyznę porozumienia z Rostworowskim?**

W Lipsku było zupełnie inaczej. Nie było Polski, a ojciec i Rostworowski byli reprezentantami młodzieży niepodległościowej. O Polskę trzeba było walczyć, starać się, uczyć się, by móc coś zrobić dla kraju. Była tam grupa bardzo żywej i zaprzyjaźnionej młodzieży i te przyjaźnie po prostu przetrwały.

Ojciec nigdy nie był w żadnej partii. Nigdy w życiu. Na pewno miał poglądy raczej socjalistyczne, ale nigdy nie był związany z żadną frakcją polityczną. No a z Rostworowskim, po prostu, przyjaźnił się od czasów studenckich, od młodzieńczych lat. Hubert Rostworowski mieszkał u nas w domu, gdy przyjeżdżał z Krakowa do Warszawy na premiery swoich sztuk.



Ryc. 11. Jan Muszkowski, dyrektor Biblioteki Kasińskich (b.d.)

Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn., 1-K-672

nadziejnie. Jakiś miły obywatel, ale po Radzie miysie
w umstie Kwestionarym mniej mam nadziei. Co do pra-
cy... nie, posady, faj to nie uadaj, mogłabym wykonywać prace
ale one, ale oke coraz trudniej. Przy s.p. Adamie nauczy-
łam się Rorkty, wstąpiłam też z wielkim samistawieniem.
Idę to nicie. Tu niemi ludzie dyktami paucy i Adam
obucyis mi powieć, ale idę to, że to b. trudno sprawa.

Wam nie mienkam u syna i dajmyś to siedemasto mie-
sienyż umiera. Ciasto tu jednak bardzo, moi wam
nie chciałabym być im ciastem, jener mógłabym
być samostawieniem.

Chciałam jener pauc powiedzieć, że mam odebrać Ad-
ma, wygłoszony w czerwcu 1948 r. w Klubie Literackim
w Kielcach o powstaniu jego cieleńki. To sam cieleń-
skie wiadomości i historii cieleńki w ogóle. Gdyby pauc
to interesowało przepisałabym i przepłata. Dajemy to, że
należałoby to dożyskować. Ogół tak mało ma o tych
nieciach pojęć. Często spotykam to z ludźmi ineligentny-
mi i wykładającymi, którzy nie wiedzą, uprzedzić co to
znaczy być twórcą cieleńki.

Prócz artykułu, że to tak rozpisanie i przyjęcie mat-
terialnego porównania dla Chojga państwa i całej
rodziny.

L. Półtawski

Ryc. 12. List żony Adama Półtawskiego, Ewy Marii Półtawskiej
do J. Muszkowskiego (1948 r.)

Rozumiem, różnice zacierał ten duch pozytywizmu¹⁹... A jak zapamiętała Pani swojego ojca?

On był człowiekiem nieprawdopodobnie łagodnym. Był niewysoki, pełen wdzięku, lubiany przez kobiety. Ten wdźwięk działał na wielu ludzi. Także ze studentami był w bliskich relacjach, a wiele seminariów odbywało się u nas w domu.

Całe życie był bardzo, jak to teraz się mówi – ja nie lubię tego określenia – ciepły. To był taki człowiek interesujący się ludźmi, chcący ich wysłuchać. Był ciekaw ludzi, ciekaw swoich studentów i innych osób z którymi się stykał. Był wielkim erudytą, więc też wielu ludzi zgłaszało się do niego po pomoc w sprawach książek, w sprawach różnych informacji, ustalania faktów. Poza tym właśnie jeżeli chodzi o książkę, on miał przyjaciół we wszystkich dziedzinach jej wytwarzania. Wśród drukarzy, wydawców, księgarzy. Na przykład pamiętam ludzi od Gebethnera i Wolffa czy Arcta, wielu, którzy pracowali dla życia książki²⁰.

Był też autorem monografii firmy Gebethnera i Wolffa...

Tak, z firmą Gebethnera i Wolffa był szczególnie związany²¹. Przyjaźnił się też z Adamem Półtawskim, autorem słynnej czcionki – Antykwy Polskiej. Mam korespondencję ojca z żoną Półtawskiego, ale już po śmierci artysty. Okazało się, że Półtawski przed śmiercią stworzył projekt jeszcze innej czcionki, Mediewala Polskiego, którą ojciec usiłował po wojnie spopularyzować.

A jaki był jego stosunek do bibliofilstwa?

Tego dokładnie nie wiem, ale miał swoją śliczną bibliotekę, wyłącznie o sprawach książki. Niestety, też się spaliła. Po wojnie zaczął ponownie gromadzić książki, ale to było już niemożliwe, aby odbudować cały księgozbiór.

Część księgozbioru po prof. Muszkowskim zachowała się. Gdy powstała Katedra, na początku Zakład Bibliotekoznawstwa UŁ, zaczęto tworzyć biblioteczki podręczne, które następnie weszły w skład tej prawdziwej biblioteki katedralnej. W starym księgozbiorze można odnaleźć książki z autografami i dedykacjami Profesora. Jest, na przykład, monografia firmy Gebethner i Wolff, z jego autografem i dedykacją.

To zapewne są szczątki, bo u nas w domu wszystkie ściany były pokryte półkami.



Ryc. 13. Jan Muszkowski z prawej żoną Janiną, Krynica, 1952 r.

Czy są jakieś zdjęcia z domu na Koszykowej?

Tak, ale powojenne. Mój brat zrobił pielgrzymkę do Polski już po przełomie 1989 roku i przywiózł sporo zdjęć. Ja mam jeszcze fotografie naszego mieszkania na Okólniku, w Bibliotece Krasińskich.

Nawiasem mówiąc, był tam taki stary magazynier. Też z rzędu tych niezwykłych ludzi, którzy nie mieli wykształcenia, ale uczyli się fachu i stawali się ekspertami. On się znał na wszystkich książkach księgozbioru Krasińskich. To był Wiktor²², magazynier, który właściwie rządził czytelnikami. Ojciec potem nawet o nim napisał, o jego specyficznej etyce bibliotekarskiej, o tym, jak wpraszał się do profesorskich domów, aby odzyskać przetrzymywane książki. Podobno nigdy nie wracał z pustymi rękami... (*śmiech*)

Ojciec nigdy nie miał z nikim zatargów. Był człowiekiem niezwykle pokojowym, łatwym w kontaktach. Uwielbiał wszystkich romantycznych poetów i sam był romantykiem, *Beniowskiego* i wiele innych utworów umiał na pamięć. Kiedyś w ogóle ludzie ćwiczyli pamięć, a teraz nie jest to modne.

Zjednywał sobie ludzi.

Tak, ale też przed wojną panowała inna obyczajowość, inna kultura obcowania z ludźmi. Teraz jest jakoś inaczej... Zdaje mi się, że w moim fachu, dla przykładu, pieniądze zaszkodziły wszystkiemu. Teraz życie jest zmateralizowane w złym rozumieniu tego słowa.

Coś Panu przeczytam:

„Jeżeli umiesz, patrząc na wielką przegraną pracy całego życia,
podjąć ją od nowa
Lub stracić w jednym rzucie stokrotną wygraną
Bez gestu jęku ni słowa.
Jeśli z tkliwością siła połączyć się zdoła.
Jeżeli umiesz kochać nie straciwszy głowy,
Nie znasz sam nienawiści czując ją dokoła,
Przecież z nią walczyć gotowy.
Jeżeli umiesz słuchać jak czereda pusta
Przeinacza twe myśli, by schlebiać głupocie
I jak cię oczerniają jej plugawe usta – a sam nie składać na jotę;
Jeśli będąc przystępny godności nie tracisz,
I trzymasz z ludem będąc na królewskim chlebie

Jeżeli możesz kochać przyjaciół jak braci,
choć nie są wszystkim dla ciebie,
Jeżeli umiesz patrzeć, sądzić i dociekać
Nie stając się sceptykiem ani burzycielem,
Spod władzy marzeń zawsze w czas uciekać,
rozmyślań nie czynić celem.
Jeśli jesteś stanowczy, choć bez porywczosci,
Jeśli umiesz być dzielny, nie będąc zuchwałym,
Jeśliś pełen dobroci i pełen mądrości,
Bez pedanterii i więzów morału.
Jeżeli umiesz przyjąć sukcesy i klęski
I kłamcom też stawić czoło.
Jeżeli możesz pozostać spokojny i męski,
Gdy widzisz popłoch w około,
To losy i Bogowie, zwycięstwa i króle
Splotą ci wieniec z wawrzynu,
A nadto, co jest więcej niż sława i króle,
Będziesz Człowiekiem, mój synu.

Ten wiersz to *If* Rudyarda Kiplinga. Przetłumaczył go mój ojciec, w nie najlepszym dla siebie czasie, kiedy po wielu latach przestał pracować u hrabiego Edwarda Krasińskiego.

To bardzo mądry tekst. Może być wskazówką na życie. Czy to tłumaczenie było gdzieś publikowane?

Nie, to tylko na użytek rodziny. Każde z nas, brat i ja, mieliśmy coś takiego przy sobie... (*pokazuje na starą pożółkłą kartkę*). Przywołując w pamięci mojego ojca, zwłaszcza w okresie po II wojnie światowej, kiedy po przebyciu dwóch zawałów, rozpoczynał „wszystko od nowa”, z pełnym zaangażowaniem dla odbudowywania kultury polskiej, bibliotek, czytelnictwa. Dziś widzę, że spełnił wszystkie punkty tego *Jeżeli...*, które tak dla niego, jak i dla nas są ideałem człowieczeństwa.

Świat dzisiaj różni się od tego, który był przed wojną. Co się zmieniło najbardziej?

Mnie się zdaje, że najbardziej zmieniło się to, że teraz się nie rozmawia, żyjemy w ciągłym pośpiechu. Przed wojną wszystko polegało na rozmowach, poznawaniu się wzajemnym, uzgadnianiu swoich opinii, czy poglądów w trakcie rozmów. Teraz nikt nie ma czasu rozmawiać. Ojciec, jak ktoś do niego pisał, odpowiadał listem na cztery strony. Teraz ja piszę e-mail, że proszę przyjść dnia tego a tego i wszystko.

Załatwianie spraw...

Właśnie, załatwia się sprawy, ale się nie rozmawia.

Tęskni Pani za tamtym światem?

Byłam przyzwyczajona do innego świata. I poza tym miałam okazję w moim życiu poznać bardzo wielu ludzi, którzy byli dla mnie autorytetami od szkolnych czasów. A myślę, że teraz młodzi ludzie nie mają autorytetów. Nie można żyć bez wzorca, bez kogoś, kogo chce się naśladować, gdy jest się młodym.

Ojciec Pani miał pewne ambicje literackie...

Myślę, że w młodości tak, zawodowo pisał przecież recenzje teatralne²³. Po wojnie znowu zaczął pisać coś – tylko nigdy nie miał na to dość czasu – co się nazywało *Warszawa niezniszczalna*. Było to o starej Warszawie. O ulicy Senatorskiej, gdzie się urodził, bo on był przecież Warszawiakiem. Pan pytał wcześniej, czy był przywiązany do Łodzi. Po wojnie wszyscy byli w Łodzi, bo Warszawa była zniszczona i nie było gdzie mieszkać i kiedy miał już tam swój warsztat pracy, to nie chciał z kolei wracać do rodzinnej Warszawy. Była nawet taka sugestia, kiedy powstawała nowa katedra nauki o książce, ale on już nie chciał wyjeżdżać. W Warszawie studia bibliologiczne rozwijali Aleksander Birkenmajer i Adam Łysakowski.

Czy spotykała Pani Łysakowskiego?

Znałam go bardzo dobrze, był najpierw bibliotekarzem na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Pochodził z tej słynnej filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej i z niej wyniósł swoją teorię języka haseł przedmiotowych. Bywał u mojego ojca po wojnie także. Ojciec w czymś mu chyba pomagał czy doktoryzował go?

Kochana, co tydzień z przyjemnością
w Warszawie. Pomiędzy Ministerstwem Kultury
i Uniwersytetem Warszawskim, faktycznie jako
prominentni docenci prawniczy i
inni 2-letni wykład z. Nauki
o książce? Długo go wysłuchałem, ale nie
jama mogę to być jedynie wybrane
zagadnienia (om. to "biblioteka")
mówiąc potocznie dyplomantem
Tę rolę i unowocześniać w go gościć.
Mógł mi być od ram na pierwszym
wykładzie pytań z różnych powodów
namówił Pana Profesora.

Stwierdziłam zapamiętanie 8-letniego
pominięcia i serdeczne pozdrowienia
Pani Łysakowskiej.

Ryc. 14. List Adama Łysakowskiego (b.d.)

Współpracował z profesorem Muszkowskim podczas przygotowywania habilitacji.

Tak, zrobił habilitację. On bywał u nas po wojnie, a przed wojną ja byłam z matką, w 1939 roku, na wakacjach na Wileńszczyźnie i wtedy oprowadzał nas po tamtejszej bibliotece uniwersyteckiej. Uniwersytet Stefana Batorego był wspaniały. Nie wiem, czy Pan go zna?

Tak, piękny historyczny gmach, wspaniałe wnętrza, na przykład Sala Smuglewicza, Lelewela... Ja chciałem zapytać jeszcze o rzecz ściśle związaną z poglądami ojca. W roku 1914 został docentem germanistyki w Wolnej Wszechnicy Polskiej, ale czy wiadomo coś na temat jego stosunku do Niemców? Czy wypowiadał się na ten temat, czy był miłośnikiem kultury niemieckiej?

Ja myślę, że był jednak miłośnikiem kultury i literatury niemieckiej. Przede wszystkim znał doskonale niemiecki, czytał Goethego, nie rozstawał się z *Faustem*. Miałam gdzieś nawet taki egzemplarz niewielkiego formatu, który nosił zawsze ze sobą... Cenił Heinego, wielkich niemieckich romantyków. Myślę, że lubił kulturę niemiecką.

Raz wyraził swój krytyczny stosunek do Niemców... Kiedy w 1927 r. kandydował na stanowisko dyrektora Biblioteki Ligi Narodów i nie dostał tego stanowiska, po latach napisał, że prawdopodobnie dlatego, iż przewodniczącym ciała decyzyjnego był Niemiec... Czy pamięta Pani, kto się zaliczał do najbliższego grona przyjaciół Pani ojca?

Ojciec miał zawsze bardzo oddanych przyjaciół i sam, bo bez tego się nie da, był bardzo dobrym przyjacielem wszystkich, z którymi się przyjaźnił. Zawsze był gotowy do wszelkich poświęceń, do dania im tego, czego potrzebują. Bardzo blisko tych wszystkich naukowców i bibliotekarzy wokół ojca nie znałam. Więcej może nawet po wojnie, ale ojciec pracował przecież poza domem. Trzeba powiedzieć, że dzieci nie brały takiego udziału w życiu rodziców, jaki biorą

obecnie. Może dlatego też, że mieszkania były większe, że dzieci siedziały przez długie lata w dzieciennym pokoju i zajmowały się swoimi sprawami. Więcej pamiętam z krótkiego okresu powojennego. Często widywałam wspomnianego Adama Łysakowskiego, wspaniałego bibliotekarza i człowieka. Poznałam Karola Głombiowskiego, później był także moim pacjentem tutaj w Gdańsku. No i była też Pani Dąbrowska. Były dwie panie Dąbrowskie; jedna z nich, Jadwiga, była bliską współpracownicą ojca. Robiła z nim nową edycję słynnej bibliografii Estreichera, pracowali wspólnie także u nas w domu. Dąbrowską znałam i pamiętam dobrze. Znałam również panią Anielę Mikucką i asystentkę ojca po wojnie, panią Brzozowską oraz wielu innych.

Byli też przyjaciele rodziny. Takim przyjacielem był doktor Aleksander Guttry, w swoim czasie dyrektor Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych²⁴. To był bliski przyjaciel rodziny. W czasie wojny rodzice, wysiedleni z Koszykowej, gdzie powstała dzielnica niemiecka, zamieszkali u dr. Guttrego, na Tamce 45B. Przyjął ich do siebie i przetrwali wspólnie prawie całą wojnę, także w Ojrzeńcu, gdzie Guttry wykładał z ojcem na tajnych kompletach gimnazjalnych.

W ogóle było wielu, wielu ludzi zaprzyjaźnionych. Był pan Wasowski, dziennikarz, ojciec Jerzego Wasowskiego od *Starszych Panów*. Trudno mi nawet wszystkich sobie dzisiaj przypomnieć i o nich opowiedzieć.

Czy ojciec odpoczywał?

Ojciec nie jeździł z nami na wakacje, tylko czasem, na dzień czy dwa... Zawsze pracował, ciągle miał dodatkowe zajęcia. Wciąż brakowało pieniędzy, bo nie były to czasy, kiedy pracownicy nauki byli godnie opłacani. Dlatego też pracował po wojnie w „Czytelniku”. Pracę tę traktował jednak jako chałturę; zatrudnił się tam po to, by zarabiać pieniądze²⁵.



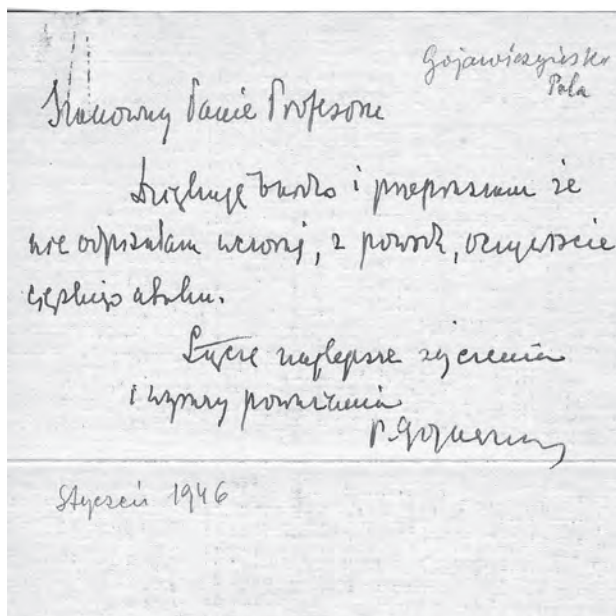
Ryc. 15. Zaświadczenie o zatrudnieniu J. Muszkowskiego
w SW „Czytelnik” w Łodzi (1945 r.)

W marcu 1945 roku Muszkowski nawiązał współpracę z Jerzym Borejszą, ale już w październiku mianowano go dyrektorem Wydziału Wydawniczego Spółdzielni „Czytelnik”.

Tuż po wojnie do Łodzi przyjeżdżali artyści, pisarze i naukowcy. Nikt z nich nie miał pieniędzy. Wśród nich znalazł się też Jerzy Borejsza. Przyjechał ze Wschodu, był ideologicznie bardzo skostniały, partyjnie ustosunkowany. Od władzy otrzymywał ogromne fundusze, by nakłonić literatów do pisania i stworzyć im warunki do życia. Obiecywał mieszkania, wypłacał zaliczki na książki, których napisania mieli się podjąć. W ten sposób skupieni wokół Borejszy twórcy uzupełniali powstałą w czasie wojny lukę w polskiej literaturze.

Do Łodzi z wojennych wędrówek przyjechały Ewa Szelburg-Zarembina, Zofia Nałkowska, Pola Gojawiczyńska i wielu innych... Wszystkim im Borejsza dawał zaliczki. Ojcu zaproponował posadę

dyrektora wydawniczego w „Czytelniku”. Miał przecież na utrzymaniu wygłodzoną przez cztery lata obozu córkę, niepracującą żonę i przyszwaną ciotkę Zełę. Ja wkrótce zaczęłam studiować. Ojciec pracował sam na wszystko. Po krótkim czasie wymówił jednak posadę u Borej-
szy, uważając że jako dyrektor wydawniczy nie ma wpływu na to, co się
ukazuje. Decyzja ta spowodowała jeszcze większą zapaść finansową
w domu. Było bardzo kruch.



Gojawiczyńska
Pola

Młodym Janie Proszony

Dziękuję bardzo i przepraszam że
nie odpisałam wcześniej, z powodu, oczywiście
braku czasu.

Ładne, miłe życzenia
i miłej pogody
P. Gojawiczyńska

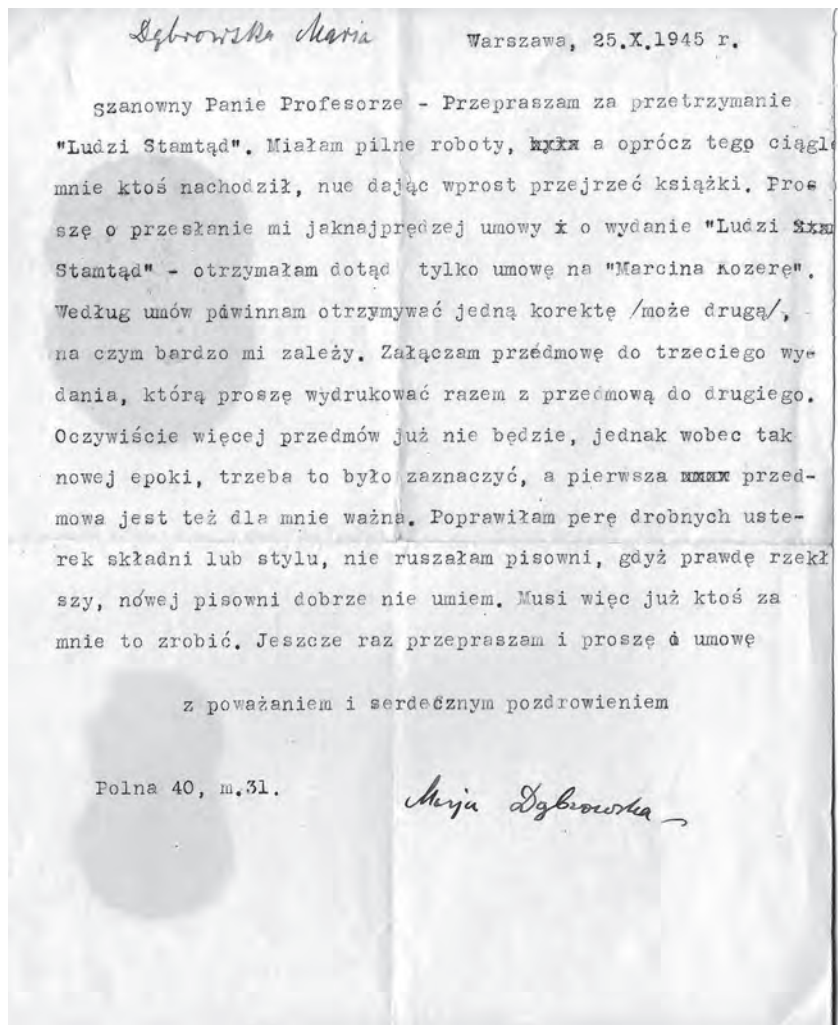
Styczeń 1946

Ryc. 16. List Poli Gojawiczyńskiej (1946 r.)

Dlaczego ojciec wypowiedział pracę w „Czytelniku”?

Jako dyrektor wydawniczy chciał publikować i uzupełniać literaturę klasyczną, którą uważał za niezbędną dla edukacji następnych pokoleń. Borejsza natomiast miał inne plany, zamierzał promować tytuły ideologicznie ukierunkowane i nie uwzględniał innych propozycji. Pamiętam, jak ojciec mówił, że w tych warunkach nie może pracować,

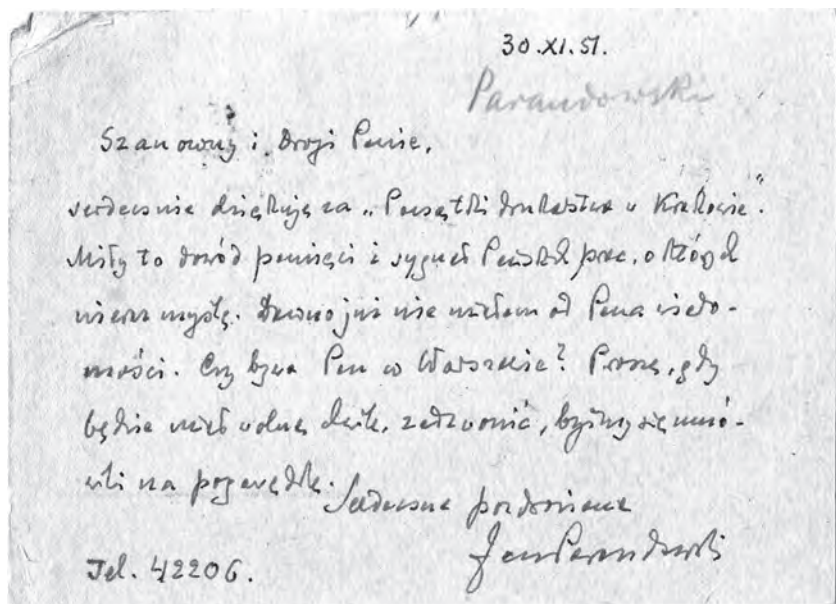
dlatego nie chce odpowiadać za to, co wychodzi z redakcji „Czytelnika”. W ten sposób odszedł z wydawnictwa, było to oczywiście poświęceniem z jego strony²⁶.



Ryc. 17. List Marii Dąbrowskiej (1945 r.)

Myśli Pani, że na ojca były wywierane duże naciski polityczne?

Nigdy nie był w żadnej partii, nigdy się nie dał. Oparł się Borejszy, mimo że było to źle widziane. Nie wiem, czy namawiano go do wstąpienia do partii, ale wiem, że nigdy się nie zgodził.



Ryc. 18. Kartka pocztowa Jana Parandowskiego (1951 r.)

Czy zniszczenie dorobku życia ojca zmieniło jego samego? To był przecież ogrom pracy...²⁷

Pyta Pan teraz o kontynuację bibliografii Estreichera... To był ogrom, wiele lat pracy, bo każdą pozycję należało obejrzyć na własne oczy, nim zapisało się ją na fiszce w kartotece.

Ojciec był pewien, że bibliografia przechowa się na Okólniku, w magazynach Krasińskich. Spłonęła całość. Niestety polegało

na tym, że ta publikacja była gotowa do druku w 1939 r. Stanowiła chyba dwadzieścia lat dodatkowej pracy ojca, poza codzienną działalnością zawodową. Był w pewien sposób załamany i przygnębiony. Nie uczestniczyłam bezpośrednio w tych zdarzeniach, ale wiem, że ciężko to przeżył. Ojciec był jednak bardzo silny psychicznie, wkrótce zabrał się od nowa do pracy, niczym zupełnie młody człowiek. Proszę sobie wyobrazić, że miał wtedy już sześćdziesiąt trzy lata, gdy znowu zaczynał od zera. Zatopił się w nowej pracy...



Ryc. 19. Przed grobem ojca na Starym Cmentarzu w Łodzi (12 maja 2013 r.). Obok: Hanna Tadeusiewicz, Jacek Ladorucki.

Fot. Z. Gruszka

Wtedy rodziła się jego koncepcja, aby z bibliologii uczynić równoprawną dziedzinę nauk społecznych. Chciał kształcić bibliotekarzy, widząc ich pracę na pograniczu działalności naukowej i społecznej.

Bardzo mu zależało i bardzo się starał, aby zorganizować uniwersyteckie studia bibliotekoznawcze; to była jego misja. Myślę, że był całkowicie tym pochłonięty: najpierw budowaniem uczelni, a później kierunku i umacnianiem jego statusu.

Działo się wtedy bardzo wiele i nie na wszystko wystarczyło mu czasu...

Umarł tak, jak ja bym chciała umrzeć: przy pracy. Nagle, to był jego trzeci zawał.

Notatka urzędowa

Ob. dyrektor Sech pisał telefonicznie o rozmowach na temat
Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego w związku z śmiercią prof.
Jana Muszkowskiego z napisem na marginesie „Zastęp-
stwo profesorowi – Minister Szkolnictwa Wyższego”, równo-
cześnie załącznikami, że na pogrzebie będzie delegat
Ministerstwa

1 lutego 1953 r.,
godz. 17⁰⁰

Józef Chałasiński

Ryc. 20. Notatka urzędowa Rektora UŁ – prof. Józefa Chałasińskiego
– po śmierci J. Muszkowskiego (1953 r.)

Pamiętam, przyjechałam wtedy do Łodzi z Gdańska, bo moja matka miała kłopoty zdrowotne. Rozmawiałam długo z ojcem, nawet spaliśmy w tym samym pokoju. Rano wszystko było normalnie, jedliśmy śniadanie, potem wyszłam do apteki, a jak wróciłam on już nie żył. Zmarł nagle, minutową śmiercią na, prawdopodobnie, migotanie komór. Miał trzeci zawał i umarł przy pracy. Poprzedniego dnia prowadził zajęcia, następnego dnia wybierał się na wykład; cały czas pracował i to ciężko. I taki właśnie – przydatny – umarł. Tak też i ja chciałabym umrzeć; to jest dobra śmierć.

Tyle, że on umarł o wiele młodszy niż ja jestem w tej chwili; miał siedemdziesiąt lat, a ja mam już dziewięćdziesiąt dwa. Pewnie Panu mówiłam, że to jest śmieszne nawet, bo wydaje się czasem wbrew naturze.

CZĘŚĆ IV

Jakub Penson – mąż

... w Jakubie Pensonie od razu zakochałam się...

Kogo można traktować jako autorytet?

No, to jest zmienne. Ale powiem Panu, że zawsze miałam przed oczyma autorytety w szkole, moje nauczycielki, to były peowiaczki²⁸ z czasów I wojny światowej, z ruchu kobiet. Uczyły mnie wszystkiego. Potem te kobiety były wielkimi autorytetami w obozie. Wręcz narzucały styl zachowania, określały reguły współżycia i obronę przed tym, co się działo. Żeby jakoś przeżyć, ale nie za wszelką cenę!

Poza tym, jestem wychowana w wielkim uwielbieniu Józefa Piłsudskiego. Gdy Piłsudski zmarł 12 maja 1935 roku wszyscy nosili żałobę. Cały rok nosiło się żałobę po Marszałku.

A po wojnie pragnęłam uczyć się medycyny ze względu na to, że w obozie to był jedyny fach, który się przydawał. Miałam męża, który był dla mnie wielkim autorytetem. Był wielkim profesorem i wielkim lekarzem. Nie mógł żyć bez swojej misji leczenia chorych.

Czy mogę się o nim czegoś więcej dowiedzieć?

Przed wojną było w Polsce ok. 14 tysięcy lekarzy, wojnę przetrwała zaledwie połowa z nich. Było ogromne zapotrzebowanie na medyków, dlatego też bardzo wcześnie angażowano studentów jako pomoce lekarskie. Już na drugim roku studiów trafiłam do gabinetu stomatologicznego dr. Stadnickiego. Tam czas schodził na otwieraniu drzwi pacjentom i kręceniu fleczerów, ale wśród pacjentów pewnego dnia pojawił się Jakub Penson, znany internista pracujący w szpitalu uniwersyteckim. Stomatolog wkrótce, ku mojej radości, zechciał się mnie pozbyć, ale przyjął mnie ten internista. To było to. Szczyt marzeń, który został osiągnięty prawdziwą kliniczną medycyną i to w najlepszym wydaniu.

Czas studiów spędzałam od tej pory głównie w szpitalu, gdzie była prawdziwa, a nie dydaktyczna medycyna. Szybko zaczęłam wielbić mądrość, ale też i osobę mego Mistrza. Wkrótce Penson, a wraz z nim oddani mu uczniowie, popadli w konflikt z kierownikiem kliniki. Był on specjalistą medycyny laboratoryjnej i nie miał doświadczenia w leczeniu chorych. Mądrość i słuszność naszego Mistrza, jaśniała w zestawieniu z postępowaniem tamtego człowieka.

Jakub Penson spędził okupację w Getcie Warszawskim w szpitalu żydowskim na Czystem, gdzie zresztą również pracował przed wojną. Był tam ordynatorem oddziału tyfusu plamistego w okresie epidemii. Kierownik kliniki natomiast był nacjonalistą. Zrozumiałe jest więc, że współpraca nie układała się na żadnym poziomie. Tymczasem my wszyscy, młodzi medycy, pracowaliśmy z ogromnym samozaparciem, szczęśliwi, że stał się cud, że wojna się skończyła, że wyszliśmy ze stałego zagrożenia życia i możemy uprawiać wymarzony zawód.



Ryc. 21. Jakub Penson z córką Anną (lata 60.)

Z jakiej pochodził rodziny, jak przetrwał wojnę Jakub Penson?

Urodził się 23 kwietnia 1899 roku w Płocku. Ojciec Jakuba był nauczycielem i skromnym „mędrce” w swoim środowisku. Jakub od wczesnych lat wykazywał wiele zdolności. Niespodziewanie

dla wszystkich mających protekcję i poparcie, zdał najlepiej egzamin do gimnazjum, które było wówczas rosyjskie. W 1918 roku z wyróżnieniem uzyskał maturę i wstąpił jako ochotnik do powstającego Wojska Polskiego. W jego szeregach brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, po czym został zdemobilizowany, wstąpił na Uniwersytet Warszawski i uzyskał tytuł doktora wszech nauk lekarskich w 1927 roku.

Po skończeniu studiów poświęcił się całkowicie i z wielką pasją medycynie. Wkrótce zdobył w Warszawie sławę znakomitego diagnosty i lekarza. Pracował w szpitalu w dzielnicy Czyste w Warszawie. Był to szpital należący do miasta, lecz zgodnie z tradycją personel medyczny stanowili Żydzi, ale chorzy byli wszelkich narodowości. Szpital był jednym z największych i najnowocześniejszych w Warszawie, liczył 1200 łóżek i posiadał oddziały wszystkich specjalności. Pracowali w nim wówczas lekarze i naukowcy, niektórzy o sławie światowej.

W szpitalu tym Jakub Penson przeszedł kolejne stopnie kariery zawodowej. W chwili wybuchu II wojny światowej był ordynatorem oddziału zakaźnego, który następnie po utworzeniu getta, został przekształcony przez okupanta w oddział tyfusu plamistego. Nie będę opisywała potworności leczenia chorych w getcie, którzy po niełatwej walce o ich życie, ginęli z rąk Gestapo, w getcie lub komorze gazowej obozu.

Jak udało mu się przetrwać wojnę?

Cudem. Przetrwał, bo został wyprowadzony przez swego pacjenta z getta, jako robotnik zewnętrzny. Trafił na zabita deskami wioskę mazowiecką, gdzie uchodził za księdza, bo uczył dzieci katechizmu i czytania z książeczek do nabożeństwa. W ten sposób nierozpoznany przetrwał do końca wojny.

Muszę powiedzieć, że w Jakubie Pensonie znalazłam gruntownie wykształconego człowieka, prawdziwego mędrca i od razu zakochałam się w jego rozumie, wiedzy, logice, poczuciu humoru. To odczucie pozostało na zawsze.

CZĘŚĆ V

Lata szkolne. Wybuch wojny

*1 września, wczesnie rano, usłyszałam dźwięk,
którego nie słyszałam nigdy przedtem.*

(Rozmowa odbyła się 16 kwietnia 2011 w Biurze Lecha Wałęsy w Gdańsku)

Czy w młodości była Pani wychowywana surowo czy liberalnie przez swoich rodziców?

Nie, nie surowo... Miałam prawo mieć własne zapatrywanie na wszystkie sprawy, jak już byłam w stanie mieć jakieś zapatrywania.

Ale nie wierzę, że nie było żadnych zakazów.

Hm... Jak by to powiedzieć, chyba nie, ale też obyczajowość była zupełnie inna. Myśmy byli o wiele grzeczniejsi niż dzisiejsza młodzież, nie wymagaliśmy restrykcji i nie było chuliganów na stadionach.



Ryc. 22. Rodzina Muszkowskich, lata 30

Jakie były Pani ulubione przedmioty w szkole?

Wie Pan, byłam pilną uczennicą. Pracowałam na piątki, to było moje *credo*. Nie wyróżniałam się, tylko „kułam”. Jak to dziewczyny – żeby dostać dobre stopnie. Nawet nie umiem powiedzieć, co sprawiało mi specjalną przyjemność. Szkoła to był obowiązek, którego się pilnowało. Żyło się wtedy wyłącznie „dziewczyńskim” życiem. Szkoły nie były wówczas koedukacyjne. „Dziewczyńskie” życie polegało na plotkach, na adorowaniu starszych koleżanek. Poza tym byłam zajęta noszeniem listów miłosnych mojego brata, który był bardzo kochliwy. Byłam bardzo zazdrosna, bo do mnie nikt listów miłosnych nie pisał (*śmiech*).



Ryc. 23. Taras na dachu Liceum Królowej Jadwigi (lata 30.)

Pamięta Pani dobrze swoją szkołę?

Trzeba powiedzieć, że mieliśmy wspaniałą szkołę. Była to szkoła demokratyczna i tolerancyjna, przyznająca równy status każdej uczennicy, niezależnie od statusu społecznego, pochodzenia, religii,

umożliwiająca dialog i dyskusję. Nasze nauczycielki, starsze wiekiem (wydawały nam się stuletnie) w czarnych sukniach do ziemi, z białą koronką dookoła szyi, z czarną aksamitką pod opadającym podbródkiem i z kokiem – charakteryzowały się dobrocią, pięknym językiem, wykwinnymi manierami i miłością dozgonną do „Dziadka”, Józefa Piłsudskiego, któremu służyły w Legionach, w POW. Jedna z nauczycielek, polonistka pani Bem, opowiadała na akademiach narodowych, jak miała zaszczyt w czasie bitew przyszyć guzik, który odpadł ze sławnej szarej kurtki Komendanta. Oczywiście każda z nas wybierała sobie swoją „idolkę” i kochała się w niej na zabój, starając zasłużyć na pochwałę, czy przyjazny uśmiech.

Dwie z naszych wspańiałych, ukochanych nauczycielek a zarazem szefowych ZWZ, panie Anna Białokurowa (polonistka) i Halina Nieniewska (romanistka) zmarły w strasznych męczarniach, po torturach zadanych im w Gestapo na Szucha.

A przeciwko czemu buntowała się młoda Pani Joanna?

Ja się nie buntowałam, wtedy jeszcze nie, dopiero później zaczęłam się buntować. Ja Panu powiem, trzeba też wziąć pod uwagę, że to było dwudziestolecie międzywojenne, okres niesłychanej dumy. My byliśmy tym pierwszym pokoleniem uczonym w szkole o tym, że jest wolna ojczyzna po tylu latach. I wtedy Polska kwitła, pamiętam jak pojawiły się radia produkcji polskiej. Polska rozwijała się, doganiała świat, Kwiatkowski budował port w Gdyni. Dostęp do morza to była fantastyczna rzecz, okno na świat. Produkcja przemysłowa, która doganiała Europę, powstawał Centralny Okręg Przemysłowy, wszystko rosło, to był okres *prosperity*. Oczywiście, ludzie byli biedni, ale ogólnie panowała taka duma z odrodzonej ojczyzny, z kraju, że się wszystko rozwija. Życie literackie, artystyczne, teatry, znakomite kabarety, doskonałe rozwinięte życie umysłowe i intelektualne. Mieliśmy kontakty kulturalne z zagranicą. Było poczucie, że po tej ciemnej nocy zaborów kraj dogania świat.

Więc to nie był okres buntu, myśmy wszyscy byli w harcerstwie. Dopiero później zrobiło się strasznie. Najgorsze było to, że ja w maju

zdałam maturę, a we wrześniu wezwali nas do szkoły, tej którą pokazywałam na fotografiach, gdzie szykowaliśmy szpital. Równocześnie wysyłaliśmy naszych braci, narzeczonych i ojców na wojnę. I to dla nich szykowaliśmy lazaret. Słało się łóżka, robiło sienniki czy kładło materace, to było okropne wrażenie. Ja urządzałam w czasie wojny dwa szpitale, jeden w mojej szkole, a drugi w św. Łazarzu, też w Warszawie. I tam też szykowało się łóżka dla rannych, wysyłając wszystkich swoich ukończonych mężczyzn na wojnę. Koszmar²⁹.

A czy latem 1939 roku wyczuwało się nadchodzące nieszczęście?

W maju 1939 r. zdawałyśmy maturę – 24 maja w dzień moich imienin było rozdanie matur w szkole, na które przyszli wszyscy rodzice. Pamiętam oburzenie, które wywołało wystąpienie naszej dyrektorki, pani Marty Frankowskiej. Oświadczyła ona, pełnym szczęścia dziewczętom, wchodzącym w życie, że idą trudne i ciężkie czasy i że nieraz z rozrzewnieniem wspomnimy beztroskie szkolne lata. Uważało się, że jest to przemówienie pesymistyczne i okrutne. Jej słowa okazały się jednak prorocze: od czerwca–lipca 1939 r. zaczęła się wojenna psychoza. Jedyną pociechą było to, że znany jasnowidz warszawski Stefan Ossowiecki, wyjechał na urlop do Krynicy. Mówiło się więc, że wojny nie będzie, bo on by chyba wiedział i nie ruszał się z miejsca. Wobec tego moja mama zabrała mnie do Wilna i na Wileńszczyznę do majątku pp. Ostrowskich w miejscowości *nomen omen* Rzesza. A potem zdążyliśmy tylko wrócić, ja złożyłam dokumenty na uniwersytecie i akurat w ten budynek, gdzie była moja rekrutacja, trafiła bomba – 3 września – i wszystkie te papiery spłonęły.

Jak wyglądał 1 września?

1 września, wcześniej rano, leżąc jeszcze w łóżku, usłyszałam dźwięk, którego nie słyszałam nigdy przedtem. Najbardziej przypominał bardzo głośne klaskanie w dłonie. Było to działko przeciwlotnicze. Oznaczało ono początek wojny. Trzeba przyznać się do naszej głupoty.

My, młodzi, byliśmy zachwyceni, pełni energii i entuzjazmu, oczekujący wielkiej przygody życia. Teraz wykażemy nasz patriotyzm i odwagę, natychmiast włączymy się do akcji. Byliśmy całkowicie pewni naszych sloganów propagandowych. Niemców zwyciężymy w parę dni, „nie damy sukmany, ani guzika od niej” itp. Drugiego czy trzeciego dnia września pożegnaliśmy się z moim bratem, który był już w uniformie wojskowym. Ja sama, poszłam do mojej szkoły. Czekano już na nas. Codziennie dostawałyśmy przydziały pracy. Moja matka, gdy były jeszcze otwarte sklepy, jako jedyne zapasy na wojnę kupiła 5 tabliczek czekolady Wedla i wówczas modny chlebek szwedzki, chrupki. Przeżyliśmy więc pierwszy strach i pierwszy głód. Wkrótce miało być ich więcej.

Bombardowania niemieckie trwały dzień i noc. Niemcy posuwali się szybko w kierunku Warszawy i niebawem musieliśmy zamykać okna, choć nie dawało to wiele wobec wybitych szyb, aby nie słyszeć i nie oglądać triumfalnego marszu wojsk niemieckich w Alejach Ujazdowskich. Zaczęła się okupacja zrujnowanej bombami nieprzyjaciela i wygłodzonej Warszawy. Było wiele ofiar wśród ludności cywilnej. Ogródki przydomowe zapełniły się mogiłami bliskich, przyjaciół....

Jakie było Pani środowisko koleżanek i kolegów przed wojną, kto należał do najbliższego grona?

To było gimnazjum państwowe, gdzie chodzili wszyscy, którzy byli dość zdolni, żeby się tam dostać. Był bardzo trudny egzamin konkursowy, przyjmowali 40 osób. Nie była to szkoła dla zamożnych. Czesne w szkołach prywatnych kosztowało wówczas ok. 100 zł miesięcznie, to była ogromna suma, ale u nas płaciło się tyle za pół roku, a dziewczęta były ze wszystkich środowisk.

Czego uczono w tej szkole, poza przedmiotami obowiązkowymi?

Szkoła był prorządowa, patriotyczna i wielbiąca Marszałka Piłsudskiego, który wywalczył nam niepodległość. Prawda polityczna i gorące uczucie nie budziły żadnych wątpliwości. Co do innych prawd

przyjmowanych bez wahań, były „prawdy” głoszone przez księdza katechetę i drużynową drużyny harcerskiej, starszej od nas o dwa–trzy lata. Wszystko sprowadzało się do posłuszeństwa i podporządkowania, które brzmiały w słowach przysięgi harcerskiej składanej przez nas: „Przyrzekam wiernie służyć Bogu i Polsce, nieść pomoc bliźniemu i być posłuszną prawu harcerskiemu”. Czy to dziwne, że to przyrzeczenie obowiązywało moje pokolenie przez całe życie? Nikt z tego pokolenia nie zawahał się na chwilę, gdy wybuchła wojna. Każdy wiedział co należy robić, co jest jego obowiązkiem.

Czy kochało się wtedy szkołę?

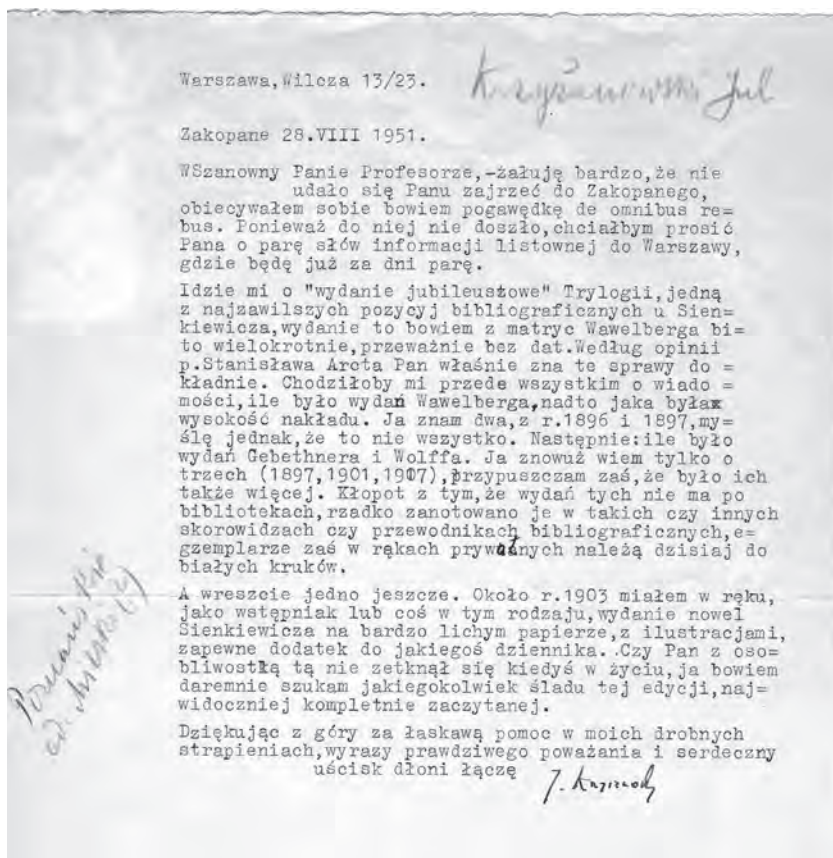
Szkołę kochało się bez zastrzeżeń. Miało się najbliższe przyjaciółki „od serca” i te dalsze „rezerwowe”, dochodziło bowiem często do obrazy, zrywania przyjaźni itp. Pożegnanie przed wakacjami czy dłuższymi przerwami, oblewało się łzami i przysięgami wiecznej przyjaźni.

À propos szkolnych przyjaźni, Pan wspomniał w swojej książce, wywiadzie-rzece z Januszem Duninem³⁰, o Julianie Krzyżanowskim. Jego ostatnia żona, Zosia Świdlińska była moją koleżanką szkolną. Była o wiele od niego młodsza, bo profesor Krzyżanowski był o pokolenie starszy od nas. Zosia po maturze studiowała polonistykę, tak się poznała i została jego żoną. Mieli syna. Zosia niedługo po śmierci Krzyżanowskiego, zginęła w wypadku samochodowym.

Razem byłyśmy u Królowej Jadwigi, bardzo się z nią zaprzyjaźniłam; ona też trafiła do Ravensbrück po Powstaniu Warszawskim. Po wojnie, Krzyżanowscy z synem przyjeżdżali do Sopotu, do ZAIKS-u na wakacje. Spotykaliśmy się wtedy zawsze.

Widziałem wiele listów Krzyżanowskiego do profesora Muszkowskiego.

Tak, korespondował z nim w sprawach zawodowych. Włożyłam tam też listy o czcionce Półtawskiego.



Ryc. 24. List Juliana Krzyżanowskiego (1951 r.)

Zapamiętała Pani kogoś szczególnie spośród szkolnych koleżanek?

Tak, ja z moimi najlepszymi pięcioma koleżankami byłam w ZWZ i z nimi także później byłam w Ravensbrück. Z niektórymi miałam kontakt bardzo długo. W tej chwili mam koleżanki głównie w Warszawie. Obok naszej szkoły była też tzw. „wzorówka” męska imienia Batorego i tam też był bardzo wysoki poziom i trudny egzamin. Było tam 40

chłopców z mojego rocznika, a po wojnie zostało ich dwóch. To jest pokolenie szczególne, jeśli chodzi o chłopców. Oni wszyscy, albo w czasie konspiracji zginęli, albo w Powstaniu Warszawskim, bo było bardzo dużo sposobów, żeby człowiek stracił życie w owych czasach... I dwóch zostało. Pamiętam, były takie zdjęcia w „Stolicy”, zaraz po wojnie: klasa 40 maturzystów z 1939 roku i potem tych dwóch po wojnie, którzy przeżyli.

Czy są takie przyjaźnie, które z młodości przetrwały do dzisiaj?

Są, tylko że moje prawdziwe przyjaciółki od serca poza jedną, Alicją Gawlikowską, która jest w Warszawie, nie żyją, niestety. Jestem okropnie długowieczna.

Czy pamięta Pani, kiedy po raz pierwszy wyjechała na wakacje z rodzicami, z bratem, a może samodzielnie?

Czy wyjechałam kiedyś bez nich? (*śmiech*) Do wojny nie byłam sama na wakacjach – na obozach harcerskich to tak, ale to też nie sama. Wyjazdy wakacyjne były zawsze rodzinne. Jechało się na wieś, wynajmowało chatę wiejską, zabierało się garnki, pościel ze sobą, był to wielki kłopot, gdyż wtedy były stacje, na których pociąg stał bardzo krótko i trzeba było przez okno wyrzucać to wszystko (*śmiech*). Myśmy tak przynajmniej jeździli. Wszystko zabierało się ze sobą i spędzaliśmy z mamą na wsi 2 miesiące. Dobrze jak miało się jeszcze jakąś inną za-przyjaźnioną rodzinę z dziećmi i rówieśników do zabawy.

Pamiętam jak przez mgłę, raz też byliśmy, ale tylko raz, we Włoszech. W Poveromo, zwiedziliśmy przy okazji wtedy Wenecję.

W którym to było roku?

To musiał być 1926 rok, później mój ojciec wyjechał do Francji. Miał bardzo dobry zawodowo okres. Wyjechał, wraz z mamą, porządkować zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu. Zostawili nas u dziadka Badio-ra z naszą ciotką Francuzką. Pamiętam, że strasznie to przeżywaliśmy.

Rodzice wyjechali bez dzieci...

Tak, myśmy zostali w Warszawie, ja miałam pięć, a brat siedem lat. Z mojego punktu widzenia, kilkuletniej dziewczynki, ten wyjazd rodziców był dramatem. Pamiętam go jako dwa nieszczęścia: po pierwsze, że nie ma mamy; po drugie, że mój brat Krzysztof zaczął chodzić do szkoły, a ja nie. W domu wspomnianego już dziadka Badiora (Aleje Ujazdowskie 41) opiekowała się nim i nami troskliwa Ciotka Zela.

Ojciec był tym wszystkim niezwykle podekscytowany, bo praca była bardzo ciekawa, zbiory nietknięte, bardzo cenne rękopisy i dokumenty po Wielkiej Emigracji. Był zachwycony. Niestety, moja mama zachorowała na astmę, tęskniła do dzieci, źle się tam czuła i, pomimo że mogli jeszcze zostać w Paryżu, wrócili po pół roku do Warszawy.



Ryc. 25. Pocztówka J. Muszkowskiego z Genewy do córki Joanny (1927 r.)

Gdzie najczęściej Muszkowscy wyjeżdżali na wakacje?

Nie potrafię powiedzieć, ale gdzieś niedaleko poza miasto. Głównie na Mazowsze, gdzieś, gdzie jechało się godzinę czy dwie pociągiem i wysiadało na malutkiej stacyjce.

Na urlop zwykle jechały dwie zaprzyjaźnione rodziny. Wyjeżdżaliśmy na zupełną wieś, bo było najtaniej. Pewnie istniały już pensjonaty, ale były bardzo kosztowne.

Czy bywała Pani w przedwojennych warszawskich teatrach, kabaretach i innych modnych miejscach?

Chodzenie do modnych miejsc było w szkole zabronione. Mimo to oglądaliśmy przedstawienia teatralne, w ramach szkolnego abonamentu, w Teatrze Narodowym. Głównie klasyczny repertuar z udziałem wspaniałych aktorów: Aleksandra Zelwerowicza, Józefa Węgrzyna, Jerzego Leszczyńskiego, Stefana Jaracza. Chodziłam głównie na sztuki Szekspira i Fredry, ale niekiedy także na te współczesne. Pamiętam dramat Stefana Żeromskiego *Uciekła mi przepióreczka*³¹. Juliusz Osterwa, Jadwiga Smosarska, Mieczysława Ćwiklińska na scenie przeżywali swój najlepszy okres. Teatr Polski był fenomenalny. I Narodowy, i Polski, mieściły się blisko Okólnika.

Nie wolno nam było chodzić na kabarety. Zupełnie zabronione było chodzenie na filmy, które były dozwolone „od 18 lat”. Kiedyś z moją najlepszą przyjaciółką wybrałyśmy się same na taki film (*śmiech*). Rodzice gdzieś poszli, ja włożyłam buty mojej mamy na wysokich obcasach, na głowę kapelusz z woalką i poszłyśmy na wspaniały film francuski do kina „Palladium” na Nowym Świecie. Po seansie natknęłyśmy się na dyrektorkę szkoły, Panią Frankowską.

Zdołała nam powiedzieć, że jutro mają przyjść rodzice. Chciała nas wyrzucić ze szkoły, zrobiła straszną awanturę. Mój ojciec powiedział, że nie pójdzie się za mnie tłumaczyć. W końcu poszła mama. Do matury chodzenie do kina było katagorycznie zabronione (*śmiech*).

Czy były takie miejsca w Warszawie, z którymi była Pani szczególnie związana?

Tak. Mój trakt rozpoczynał się na Nowym Świecie, który był równie sympatyczny jak teraz, a kończył na Placu Trzech Krzyży. Codziennie chodziłam piechotą ten kawałeczek. Bardzo to lubiłam. Z moimi szkolnymi przyjaciółkami odprowadzałyśmy się do domu, nie byłyśmy jednak dosyć „nagadane”, więc wracałyśmy i później znowu odprowadzałyśmy się w kółko. Później chodziłam w drugą stronę, od Placu Trzech Krzyży do Koszykowej.

Na Koszykowej, nawiasem mówiąc, w czasie wojny było Gestapo. Tam mnie zawieźli z Pawiaka na przesłuchanie. Gestapo mieściło się w byłym Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dom 6a, gdzie mieszkaliśmy, był obok gmachu, w którym mieścił się Wydział II (wywiad). Do wejścia Niemców nie zdołano go opróżnić i potem na chodniku stały rozprute przez okupanta wielkie kasy pancerne.

Czy przed wojną były u Państwa w domu takie osoby jak: Ludwik Krzywicki, Konstanty Krzeczkowski, z którym ojciec współpracował, Stefania Sempołowska, Janusz Korczak...

Nie pamiętam tych ludzi w domu, ojciec miał raczej kontakty z nimi w pracy. Niestety, nigdy w życiu nie widziałam Korczaka. Po wojnie, obok nas mieszkała Helena Radlińska. Jednak nie przypominam sobie stosunków towarzyskich między nią a ojcem, były to raczej kontakty zawodowe. Pod względem towarzyskim pamiętam innych ludzi. Poza Juliuszem Kaden-Bandrowskim, Hubertem Rostworowskim, o których już wspominałam, był u nas, Kazimierz Bartel, matematyk i polityk, premier pięciu rządów Rzeczypospolitej. Byłam wtedy dzieckiem. Dzieci siedziały w owych czasach w dzieciennym pokoju i nie brały udziału w codziennym życiu. Do matury nie uczestniczyłam w kolacjach, czy przyjęciach. Kolację jadłam w kuchni przed przybyciem gości.

Czy Pani podziw dla Piłsudskiego wynikał z tego, że ojciec budował kult Marszałka w domu?

Piłsudski był dla mnie autorytetem, ale wynikało to z wiedzy nabytej w szkole i w harcerstwie. Tak byliśmy wychowywani. Z Piłsudskim kojarzyła się niepodległość Polski. Na maturze pisałam wypracowanie: „Pozytywizm i romantyzm w działalności Józefa Piłsudskiego”.

W domu niespecjalnie rozmawiało się o polityce. Czytało się przede wszystkim jako codzienną gazetę „Kurier Warszawski”, a następnie „Wiadomości Literackie”. Większość lektur stanowiły książki po polsku i w powszechnie używanych wtedy językach obcych. Mój brat był inteligentniejszy ode mnie i prędzej się wciągnął w panujący w domu nurt literacki. O wiele też szybciej się uczył. Był dzieckiem na pokaz, a ja takim trochę „z boku”.

Ale to do Pani zwracają się dzisiaj wszyscy „Pani Profesor”....

(*śmiech*).

Jak wyglądało życie Jana Muszkowskiego w ostatnich dniach przed wojną?

Szokiem dla ojca było zwolnienie go przez ordynata Krasińskiego z Biblioteki Krasińskich w 1935 roku³². Wtedy rozpoczął pracę w Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Pan wcześniej pytał, czy mój ojciec był socjalistą i właśnie zastanowiłam się nad tym jeszcze raz. On w młodości, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, należał do lewicowych kręgów kulturalnych, zrzeszeń oświatowych, ale nigdy nie należał do żadnej partii, w ogóle mało interesował się polityką. Jeżeli politycznie już go gdzieś umieszczać, to był raczej takim socjaldemokratą z kręgu Żeromskiego i „szklanych domów”. Z Żeromskim, zresztą znał się i utrzymywał dobre stosunki. Podobnie jak z wydawcą Żeromskiego, Jakubem Mortkowiczem³³. Wszyscy należeli do tego samego kręgu. Wprawdzie ja już nie mogłam skorzystać ze znajomości ojca z Żeromskim, ale z Mortkowiczem jeszcze tak. Chodziłam do jego księgarni na Mazowieckiej. Żeromski

umarł, kiedy ja miałam chyba z pięć czy sześć lat. Pamiętam jego pogrzeb w Warszawie i to powszechne poczucie utraty, jaką dla całej polskiej inteligencji było odejście wielkiego pisarza.

Pogrzeb był manifestacją.

Tak, przez Trakt Królewski szły tłumy, cała stolica brała udział w uroczystościach pogrzebowych, to była wielka manifestacja.

Żegnano go zresztą w przekonaniu, że został niesłusznie pominięty przez komitet noblowski, że nie dostał nagrody na skutek swojej postępowości. I że to Żeromskiemu należał się Nobel, a nie Reymontowi. Pamiętam *Popioły* – były w lekturze szkolnej za moich czasów – miałam taką przyjaciółkę Wandę Tazbirównę. Mama tej Wandy zakreśliła w *Popiołach* na czerwono to, co jest tak nieprzyzwoite, że nie wypada tego czytać. Więc myśmy zawsze mówiły: Wandziu, przeczytaj to, co jest zakreślone tym czerwonym najpierw, to jest najciekawsze (*śmiech*).

Dla mojego pokolenia przeczytanie każdej książki Żeromskiego było przeżyciem.

Jaki charakter miały kontakty Pani ojca z Żeromskim, były tylko zawodowe?

Nie tylko zawodowe. Oni się znali, bywali u siebie, ale to było jeszcze przed moim świadomym życiem, miałam wtedy jakieś cztery, pięć lat. Po śmierci Żeromskiego tacy ludzie jak Mortkowicz kultywowali jego pamięć. Mortkowicz to był koneser literatury, zakochał się w pisarstwie Żeromskiego. W pewnym okresie był jego opiekunem finansowym i mecenasem. Żeromski to była zresztą pasja tego pokolenia.

Pani ojciec wielokrotnie pisał o Mortkowiczu, opisywał sukcesy Mortkowicza na międzynarodowych wystawach książek...

Tak, Mortkowicz wydawał piękne książki, nie wiem czy Pan zna *Pana Tadeusza*, czy *Popioły* w wydaniu Mortkowicza?

Widziałem, piękne... Żeromski był uważany za eksperta kultury, za artystę słowa; ratował różnych literatów z opresji, kiedy wygłaszali skandaliczne wiersze i groziło im więzienie. Pani autentycznie lubiła Żeromskiego w młodości?

Dzisiaj Żeromski zupełnie przestał być czytany przez młodzież i młode pokolenia, a dla nas to było przeżycie. To był, w ogóle, entuzjazm nieprawdopodobny. Z moim bratem jesteśmy nazwani, imionami z Żeromskiego: ja, Joanna, z *Ludzi bezdomnych*, a Krzysztof, mój brat, też z Żeromskiego, z *Popiołów*.



Ryc. 26. Krzysztof Muszkowski, lata 30. XX w.

CZĘŚĆ VII

Ravensbrück

*Przekonanie o nierealności zbrodni wojennych dawało siłę,
by przeżyć.*

(Rozmowa odbyła się 2 lipca 2011 r. i 2 maja 2012 r. w mieszkaniu Joanny Muszkowskiej-Penson w Sopocie)

W książce pt. *Zwyciężyły wartości*, którą czytałem niedawno, jest kilka zdań, które Pani wypowiedziała na temat tego, co ważne. Pozwolę sobie je zacytować:

„Wychowywana i kształcona byłam w obozie przez współwięźniarki, które zaimponowały mi swoją bezkompromisową godną postawą życiową. Mówi się teraz dużo o tym, że młodzież nie ma wzorców do naśladowania, ideałów, indywidualności wywierających piętno na ich życiu. My niewątpliwie miałyśmy takie modele, a kodeks właściwego moralnego postępowania był prosty i jednoznaczny. Ile z tej nauki zdążyłyśmy wcielić w nasze życie na wolności zależało to już od nas samych”.

Czy było kiedyś gorzej w Pani życiu niż w Ravensbrück?

Ravensbrück było krańcowym przeżyciem. Jechaliśmy do Ravensbrück jako *Sondertransport*, czyli transport specjalny, ze względu na to, że byłyśmy zidentyfikowane jako opozycja polityczna. Po wojnie dowiedziałyśmy się, że w naszych dokumentach zanotowano po niemiecku „powrót niewskazany”. Powrót do domu, czyli do Polski. Było to równoznaczne z rozkazem wykończenia nas. Młodzi ludzie posiadali potencjał życiowy, którego naziści nie chcieli całkiem tracić. Uważali, że trzeba wykorzystać nasze siły do końca przy budowie dróg pod Ravensbrück. Albo w szwalni, w zakładach Siemensu, w fabryce amunicji. Śmiertelność w obozie wynosiła 70%, więc było pewne, że jak wojna potrwa jeszcze dwa, trzy lata, to ci wszyscy ludzie się wykończą w wyniku chorób, ciężkiej pracy, z niedożywienia, z najrozmaitszych powodów. Miałyśmy tego świadomość cały czas, że my tam, w Ravensbrück, trwamy, ale czas działa na naszą niekorzyść. Mój wózek obozowy zachowałam do dziś, pokazywałam Panu, miałam numer obozowy 7804.

Nigdy nie przeżyłam w życiu niczego podobnego do obozu. Można powiedzieć, że do wojny nie przytrafiło mi się nic złego. Miałam

bardzo sympatyczny, serdeczny dom, gdzie wszyscy się bardzo kochali, miałam bardzo łagodnego i dobrego ojca. Przed wojną nie przeżyłam nic złego...

W innym miejscu spotkałem takie Pani wyznanie: „Jestem wychowanką obozu, tak jak można być wychowanką uczelni lub klasztoru”.

Tak, bo razem z maturą kończyło się dzieciństwo i miało zacząć poważne życie. Ale zaczęły obowiązywać zupełnie inne reguły. Trzeba było jakoś żyć, ale było się do tego absolutnie nieprzygotowanym, w każdym sensie.



Ryc. 27. Winkiel obozowy J. Muszkowskiej z Ravensbrück

To znaczy, że bardziej ukształtował Panią obóz, niż przedwojenne wychowanie?

Wychowanie przed wojną sprawdzało się na czas pokoju. Wychowanie na czas wojny wymagało czegoś zupełnie innego. Na przykład mój brat zawsze w szkole był bardzo lęklwym chłopcem, a potem latał bombowcami w RAF-ie jako nawigator. To było inne życie, które wymagało, że tak powiem, nowego przeszkolenia...

...wymagało odwagi.

Odwagi, ale też zmiany reguł życia w ogóle. Gdy wróciłam z Ravensbrück i spotkałam się z ojcem, to powiedział, że cieszy się, że mnie widzi, że jestem cała i zdrowa i że udało mi się w tych ciężkich czasach mieć tylu przyjaciół. Nim mnie znalazł, szukał wśród powracających z Ravensbrück i spotykał ludzi, którzy o mnie dobrze mówili. Właśnie to, że ja miałam tylu przyjaciół w obozie, że to życie obozowe przeszło jak przeszło, to na pewno zawdzięczałam mojemu domowi i temu stosunkowi do ludzi, do przyjaciół, do społeczeństwa, które wyniosłam z domu.

Czyli można powiedzieć, że w Ravensbrück pomogły przetrwać te wartości, które wpajano w przedwojennej szkole, w domach rodzinnych, bo wszyscy osadzeni odebrali podobne wychowanie?

Bezwzględnie tak. Należał do nich także patriotyzm, który wpajano młodzieży zarówno w domu, jak i w wychowaniu szkolnym. Trudno mi mówić o obozie, pozostaje bowiem przekonanie, że to wszystko, co opisuję, nie oddaje sedna rzeczy, że to nie to – nie wyłania się obraz obozu, istnieje coś ważnego, co zostaje z boku, jest nie do przekazania. Znam tylko dwa opisy gestapowskiego terroru, które oddają, istotę rzeczy; jeden jest autorstwa noblisty Imre Kertésza w *Losie utraconym*, a drugi – mojego przyjaciela Francuza André Postel-Vinay w książce *Un fou s'évade*. W obu tych książkach rzeczywistość, z którą mieli do czynienia autorzy, przedstawiona jest z niedowierzaniem i zdumieniem. I może właśnie to zdumienie jest jedyną możliwością przedstawienia tematu. Przekonanie o nierealności zbrodni wojennych dawało siłę, by przeżyć.

Jacy byli Niemcy w Ravensbrück?

Wie Pan, straszliwe były kobiety-esesmanki. Jeszcze gorsze od mężczyzn. Z psami, wielkimi wilczurami nauczonymi gryźć w łydki

bardzo boleśnie. Strasznie zacięte i zawzięte, ale oczywiście nie można nigdy generalizować. Mieliśmy komendantkę obozu, nazywała się Johanna Langefeld. To była komendantka jeszcze z czasów przedwojennych, kiedy obóz był czymś w rodzaju domu poprawczego tylko dla Niemek, w tym dla źle prowadzących się niemieckich dziewcząt. Ona jako wykształcony pedagog, została dyrektorką tego zakładu wychowawczego. Potem wybuchła wojna i zrobili w Ravensbrück obóz koncentracyjny, ciągle zresztą rozbudowywany. Zaczęły przyjeżdżać wszelkie nacje, jako pierwsze po rozpoczęciu wojny – Polki. Przyjeżdżały znowu bardzo młode dziewczyny. Langefeld uważała, w naturalny sposób, że są to więźniarki podobne do tych, które przywożono do jej zakładu przed wojną. Proszę sobie wyobrazić, że ta Langefeld, dowiedziawszy się, że skazywane na śmierć czternasto-piętnastoletnie dziewczęta są traktowane jako najwięksi wrogowie, przestępcy polityczni zagrażający III Rzeszy, zmieniła swoje podejście do więźniarek. Ostatecznie została aresztowana, postawiono jej zarzut, że jest przyjaciółką Polek i zamknęli ją. Potem wysłali do innego obozu, zdaje się do Oświęcimia. Po wojnie została ponownie aresztowana przez polskie władze i wsadzona do więzienia na Montelupich w Krakowie i wtedy wszystkie ravenbrückanki rozesłały pismo, aby bronić Langefeld. To właśnie akcja byłych więźniarek spowodowała wypuszczenie jej z więzienia. Wiem, że potem wróciła do Niemiec, gdzie dożyła starości³⁴. Dlatego mówię, że nie wolno nigdy generalizować...

Kiedy trafiła Pani do konspiracji?

Na początku roku 1940 spotkałam na ulicy koleżankę szkolną Alicję Gawlikowską, która powiedziała mi, że działa już w ZWZ i dała mi adres, gdzie mogę się zgłosić. Sprawa była prosta: szefami organizacji byli oficerowie WP, którym udało się wrócić do Warszawy, ukryć na fałszywych papierach. Zastępcami tych szefów byli członkowie POW. Wśród nich liczne nasze nauczycielki gimnazjalne. Zgłosiłam się do jednej z nich, pani Marii Strońskiej, naszej polonistki. Zostałam zaprzysiężona jako łączniczka ZWZ w komórce „Album”.



Ryc. 28. Więźniarki obozu koncentracyjnego Ravensbrück przy pracy

Źródło: Anja Lundholm, *Wrota piekieł. Ravensbrück*, Warszawa 2014

Jak Pani trafiła do obozu?

Byłam aresztowana w lokalu konspiracyjnym na Mokotowskiej w marcu 1941 r. To był lokal, gdzie odbierałam pocztę, którą następnie dalej przekazywałam. Był nią „Biuletyn Informacyjny”, gazeta z nasłuchu radiowego BBC, drukowana na maszynie do pisania i dostarczana do odpowiednich osób. Miałam adresy i swoich odbiorców, a poza tym nosiłam korespondencję między różnymi podziemnymi działaczami. Nasza kryjówka była na najwyższym piętrze jednego domu, gdzie zostawiało się materiały do przechowania. Byłam bardzo szybką łączniczką, bo miałam rower. Jeździłam nim po Warszawie...

Bała się Pani?

Były różne momenty. Generalnie, nie rozumiałyśmy tego niebezpieczeństwa, dopiero jak przyszli nas aresztować, to się okazało. Jakoś

w tym zapale młodzieńczym nie rozumiało się tego, że można wpaść i, że to może mieć takie konsekwencje, jakie miało.

Wie Pan, wtedy, jak jeździłam na tym rowerze, to byłam taka zadowolona z egzystencji... Był taki sławny rzeźbiarz, Szczepkowski. On miał zięcia, który nosił piękne nazwisko Mickiewicz, i który był bardzo ważny w konspiracji. Byłam bardzo dumna, że to właśnie jemu dostarczałam konspiracyjne materiały (*śmiech*).

Raz na ulicy Puławskiej, która schodziła w dół od Placu Unii Lubelskiej, nagle paczka z fałszywymi pieniędzmi, które wiozłam, spadła z kierownicy... I plasnęła na ziemię! Zatrzymałam się i odwróciłam, serce biło mi jak młotem. Pomyślałam, że papier mógł się rozedrzyć a pieniądze rozsypać na jezdni. Lecz nie, paczka była cała, dzięki Bogu. Spokojnie ją podniosłam i pojechałam dalej.

Bardzo nieprzyjemne było archiwum „Albumu”. Mieściło się na 6. piętrze kamienicy i było niezamieszkałe. Znajdowały się tam, poza papierami, radiodbiorniki nadawczo-odbiorcze i broń. Trzeba było pojechać windą, otworzyć drzwi z klucza, nikogo nie spotkać po drodze i odłożyć przywiezione rzeczy na miejsce. Pamiętam z jakim pośpiechem i strachem wykonywało się te czynności. Czy jeszcze nie ma tam Gestapo? My łączniczki przechodziłyśmy też szkolenie z konspiracji i wywiadu wojskowego (chodziło o rozpoznanie rodzaju broni i szarż wojsk niemieckich stacjonujących w Warszawie). Naszym nauczycielem był ukrywający się oficer wywiadu, bardzo miły i przystojny. Wielką przyjemnością było wychodzenie z nim na miasto. Szło się z nim pod rękę, niczym narzeczeni, a on udzielał nauk. Miał pseudonim „Profesor”.

Jak doszło do wpadki?

Myśmy zmieniali lokal, bo z komórki konspiracyjnej, która specjalnie sprawdzała, czy miejsce jest bezpieczne, przekazano nam wiadomość, że poprzedni lokal może być inwigilowany. Znaleźli nam więc nowy, było to na Mokotowskiej przy Placu Trzech Krzyży, niedaleko mojej szkoły. Mieszkanie na pierwszym piętrze, bardzo stare, z dużą jadalnią zaraz przy wejściu. Organizacja postanowiła zrobić

tam dla niepoznaki sklep komisowy. Każdy przyniósł coś z domu, jakieś stare palto, niepotrzebną odzież i powstał komis jako przykrywka. Do tego komisu przychodziły łączniczki po pocztę. Moją bezpośrednią szefową była pani Maria Strońska; zaprzysięgała nas oraz rozdała zadania.

Szkopuł był jednak taki, że nasza centrala nie zorientowała się, że obok jest jeszcze jedna, zupełnie inna komórka konspiracyjna, bo przecież w Polsce było wiele tajnych organizacji. To była konspiracyjna organizacja nauczycielska. Nauczyciele byli biedni, biedniejsi od nas i to było jedną z przyczyn wpadki.... My mieliśmy drukarnię pieniędzy w czasie okupacji. Nikt się nie zorientował, że mamy lokal dokładnie pod tym samym adresem, co tamci. Mieszkanie było bardzo duże – sześć- czy siedmiopokojowe. Z powodu braku środków i innych możliwości tamta organizacja w jednym lokalu konspiracyjnym przechowywała wszystko: stację nadawczo-odbiorczą, archiwum swojego pisma i inne dokumenty. Zbierali się tam w niby-stołówce dla bankowców, co naszym wywiadowcom bardzo się podobało. Banki w czasie okupacji zamknięto, bankowcy zostali bez środków do życia, więc wszystko wyglądało wiarygodnie. I proszę sobie wyobrazić, że do nich, jako do centrali, przyjechał człowiek z prowincji namierzony przez Niemców już gdzieś w Radomiu. Jak przyjechał, od razu na dworcu w Warszawie został zdjęty przez Gestapo. I popełnił błąd, bo miał nasz adres z Mokotowskiej w zegarku.

Oczywiście Niemcy byli bardzo skrupulatni. Po aresztowaniu natychmiast go dokładnie przeszukali, zabrali złoty zegarek i znaleźli adres. O trzeciej po południu przyszedł do nas. To było 25 marca 1941 roku, były imieniny naszej szefowej i zarazem „kierowniczką” sklepu komisowego. Nic więc dziwnego, że nazajutrz przyniosła do lokalu ciastka. Każda z nas czterech dostała paczkę do rozniesienia, ale czekałyśmy z ciastkami na spóźniającą się Krysię – Rozniszewską. Nagle walenie kolbami do drzwi. Do naszego pokoju-sklepu wpada grupa SS z bronią skierowaną w nas, każą wszystkim stanąć twarzą do ściany. Pamiętam dobrze tę chwilę...

Tamci, po sąsiedzku, wpadli ze wszystkim, co mieli, a przy okazji my... Wszyscy mężczyźni z organizacji nauczycielskiej

zostali rozstrzelani od razu na Pawiaku. Kobiety pojechały z nami do Ravensbrück, ale były też rozstrzeliwane. W miarę jak postępowały procesy w Berlinie, do Ravensbrück przysyłano rozkazy rozstrzelania kolejnych osób. Przyjeżdżała kompania egzekucyjna i rozstrzeliwała. Te kobiety ginęły w Ravensbrück, czasem po dwóch-trzech latach obozu.

Nas na Mokotowskiej nikt nie znał. Ci, którzy sypali (byli i tacy) nie rozpoznali nas, bo myśmy sprowadzili się na Mokotowską może miesiąc albo dwa przed wypadką. Dostałyśmy wyrok odsiadki do końca wojny. Było nas pięć osób.

Pamięta Pani coś więcej z tego dnia?

Niemcy początkowo nie wzięli nas za konspiratorki i przeszli przez nasz lokal, zostawili tylko dwóch żołnierzy, a nam kazali stanąć pod ścianą. Niektóre z nas ze strachu zaczęły ukradkiem wkładać pocztę do ust i połykać. Miałśmy zaszyfrowane informacje na takich małych papierkach, na bibułkach i moje koleżanki zaczęły to jeść. Mnie jednak jakoś bardzo słabo szło to jedzenie, więc moja przyjaciółka, Alicja Gawlikowska widząc, że ja nie mogę tego połknąć, wyciągnęła do mnie rękę, żebym jej dała resztę. I ja jej podałam. Wtedy żołnierz, który stał za nami, zauważył to i wprawdzie nie zabrał jej niczego, bo ona zdołała już wszystko połknąć, ale uderzył ją w twarz i tak to się zaczęło...

Co znaleźli?

Niemcy ostatecznie znaleźli u nas tylko biuletyny informacyjne i gazetki. Tłumaczyłyśmy się, że przyszły jakieś klientki do naszego sklepu, który zresztą bardzo mizernie wyglądał, kilka starych płaszczy w szafie, no i że one musiały nam to podrzucić, ale nie wiemy kto. Trochę nas tam potłukli.

Dodam jeszcze, że kiedy zostałam aresztowana, po nieudanych próbach wykupienia mnie, mój ojciec poszedł sam do siedziby Gestapo na aleję Szucha, starać się o uwolnienie mnie. Narażał się na pewną

śmierć. Szedł do „paszczy lwa” dla mnie. Jednak gestapowiec słysząc jego znakomity niemiecki (doktorat z Lipska) krzyknął tylko: „To pana wina, że tak źle wychował pan córkę” i kazał mu wyjść.

Kogo jeszcze aresztowano?

Ze mną została aresztowana nasza szefowa, Maria Karska, żona oficera będącego gdzieś na froncie i cztery koleżanki szkolne, m.in.: Alicja Gawlikowska i Janina Machowska. Wszystkie wróciły z Ravensbrück. Dwie z nas jeszcze żyją. Alicja jest szefową klubu więźniarek Ravensbrück. To jest klub założony przez wcześniejsze pokolenie, przez panią Wandę Kiedrzyńską, która nawiasem mówiąc, знаła mojego ojca i która opiekowała się mną w obozie; prowadziła obozowe lekcje historii dla młodzieży. Ona napisała pierwszą książkę o Ravensbrück i założyła właśnie ten klub.

Jak wyglądało życie codzienne w Ravensbrück?

Ponuro. To było straszne, było się okropnie brudnym, nie było żadnego sposobu żeby się umyć. Brud i robactwo było jedną z udręk obozowych. Na początku zabijało się wszy wieczorem na koszuli, ale potem stało się to bezcelowe – wszy bowiem były wszędzie i chodziły po wierzchu ubrań sznureczkami. Nic też dziwnego, że na początku 1945 roku ugryzła mnie wesz tyfusowa. Brud doprowadzał do ciężkich epidemii. Poza tym była bardzo ciężka praca. Postępowanie Niemców prowadziło do tego, żeby wykorzystać wszystkie siły więźniów, po czym doprowadzić ich do śmierci w ten, czy inny sposób. Pracowało się dwanaście godzin na dobę na dwie zmiany: dzień albo noc, raz dzień raz noc, różnie, ale zawsze bardzo ciężko³⁵.

Na początku na przykład brukowałyśmy drogę do Ravensbrück. Potem, dzięki takim paniom jak Kiedrzyńska, czy Wińska, która też napisała dwie książki o Ravensbrück, było łatwiej. Polskie więźniarki sprawowały funkcje porządkowe w obozie i dzięki temu było nieco łatwiej. One załatwiały różne sprawy w obozie poprzez współosadzone wraz z nami austriackie więźniarki o poglądach socjaldemokratycznych.

Austriaczki mówiły po niemiecku i miały lepszą pozycję w obozie. To dzięki nim udało się zamienić blokowe i sztabowe, którymi na początku były Niemki-kryminalistki, albo tak zwane asocjalne z zieloną albo czarną łatą, na Polki. Zupełnie to odmieniło życie w obozie, bo nasze blokowe i nasze sztabowe to były nasze koleżanki. Wreszcie, tej ciężkiej pracy, towarzyszył straszliwy, postępujący w miarę trwania wojny, głód.

Ale Niemki były cały czas w obozie, razem z Polkami?

Tak.

Czytałem na przykład, że Maria Hiszpańska-Neumann mieszkała z niemieckimi prostytutkami i bardzo z tego powodu cierpiała. Że znęcały się nad nią...

Hiszpańska, bardzo uzdolniona dziewczyna, córka najznakomitszego szewca w Warszawie. Wie Pan, takiego szewca ekstra, *haute chaussure*. Na Chmielnej miał sklep, gdzie każda para bucików kosztowała pięćset złotych. „Myszka” Hiszpańska, bo tak ją nazywałyśmy, zrobiła zresztą w obozie bardzo dużo ładnych rysunków. Nie wiem, chyba niewiele przetrwało...

Część została w muzeum w Ravensbrück. Pani miała dobre kontakty z Marią Hiszpańską?

Znałam się z nią bardzo dobrze, była w moim wieku. Ona pisała o niemieckich prostytutkach czy polskich?

O niemieckich.

W obozie były też polskie prostytutki, które naraziły się tym, że na ulicy Chmielnej, która przed wojną była ulicą nierządu w Warszawie, pobiły niemieckie dziewczyny, walcząc o swój rewir. No więc przyszło Gestapo, zamknęło te dziewczyny i one z nami siedziały w obozie. Potem, pod wieloma względami, okazały się fantastyczne i bardzo

użyteczne. Mianowicie, z Ravensbrück Niemcy wysłali je, jako prostytutki właśnie, do Oświęcimia. Tam przychodzili do nich Polacy, którzy mieli żony w Ravensbrück i nie chcieli od nich żadnych usług, właściwych kobietom tego rodzaju, tylko podawali listy, które potem z Oświęcimia, wraz z tymi kobietami, przychodziły do Ravensbrück, do ich żon lub matek. Życie pisze niezwykle scenariusze.

W Ravensbrück oprócz Hiszpańskiej-Neuman była jeszcze jedna malarka, Maja Berezowska...

Bardzo ciekawa osoba. Robiła nam wszystkim portrety. Maja Berezowska, to była specjalna osoba. Z Mają byłam razem w *Kunstgewerbe*, gdzie były wszystkie więźniarki utalentowane plastycznie: „Myszka” Hiszpańska, Jadwiga Simon-Pietkiewicz i inne. Berezowska malowała też więźniarki. Raz, pamiętam, namalowała moją przyjaciółkę, Olę Nider, która bardzo rozpaczała i mówiła: „ja nie mogę tego wysłać do domu, przecież oni pomyślą, że ja tu pracuję jako prostytutka, jak pani mnie namalowała”. Maja miała taki styl.

Byli w obozie ludzie, którzy nie mogli wytrzymać głodu i Maja właśnie do nich należała. Dopraszała się u kucharek, żeby przynosiły jej jakieś jedzenie za portrety, które robiła i mówiła: ja po wojnie zrobię ci taką piękną suknię, że ty w ogóle jeszcze takiej sukni na oczy nie widziałas. Za obietnicę sukni z domu mody, który prowadziła przed wojną, chciała dostać kawałek chleba. Moneta, którą oferowała nie była jednak w cenie, bo mało kto wierzył, że kiedykolwiek z obozu wyjdzie.

Czy Panią też rysowała Maja Berezowska?

Mnie akurat nie.

A po wojnie panie utrzymywały kontakty?

Po wojnie tyle, o ile. Spotykałyśmy się na początku, gdy jeździłam do Warszawy na zjazdy ravenbrückie. Z Mają akurat rzadko się widywałam.

Zanim trafiła Pani do Ravensbrück, to był jeszcze Pawiak ...

Pół roku. Na Pawiaku byliśmy od marca do września 1941 roku. Niemcy aresztowali tylu ludzi, że Pawiak pękał w szwach. Żeński oddział Pawiaka nazywał się, nie wiadomo dlaczego – „Serbia”. Były tam przedwojenne strażniczki polskie, które należały też do ZWZ, zajmowały się m.in. przenoszeniem korespondencji na zewnątrz. Potem zostały aresztowane i przywiezione do Ravensbrück. Była na przykład Pawlakówna, słynna. Ona, jak kogoś aresztowano, tak jak nas, od razu zawiadamiała organizację, że lokal jest spalony, żeby tam nikt nie przychodził. Następnie przemyślała grypsy, kto jest zagrożony, czy jakiś inny lokal jest spalony. I potem, za dwa dni, przynosiła mi już wiadomości od moich rodziców. Także organizacja na Pawiaku była bardzo dobra. To była komórka więzienna ZWZ, do której należały również więźniarki pracujące w szpitalu więziennym: dr Czuperska, studentka Maria Kopeć i inne lekarki.

Na Pawiaku było bardzo dużo polskich służb sprzed wojny. Przewodniczącą strażniczek była Polka. One wszystkie przecież działały przeciwko Niemcom. Nas umieszczono w sali małoletnich. To była duża cela, siedziało tam ponad dwadzieścia osób, a przed wojną była tam kaplica. Rada Główna Opiekuńcza³⁶ dała też do tej celi jedną nauczycielkę, żeby pilnowała małoletnich. Więźniowie bardzo mocno wspierali się nawzajem, codziennie rano jednak podjeżdżała taka buda, która zabierała kogoś na przesłuchanie na Szucha.

Na kogo mogła Pani liczyć w Ravensbrück?

Miałam mnóstwo przyjaciół, dzięki nim w ogóle żyję. Byłam chora na tyfus plamisty i miałam umrzeć. Opiekowali się mną, pielęgowali. W obozie była prawdziwa solidarność, prawdziwa przyjaźń. Zastanawiam się, czy młodzi ludzie znają to dziś, w ogóle...?

Nasze nauczycielki uczyły nas wieczorami, pomimo że dwanaście godzin pracowało się fizycznie. Kiedrzyńska robiła wykłady na kursie gimnazjalnym, bo było dużo dziewczyn, które nie zdążyły zrobić matury, były młodsze ode mnie.

Czy człowiek w obozie koncentracyjnym ma jakieś marzenia?

Jest się zupełnie, Pan sobie wyobrazi, normalnym człowiekiem z tym, że bardzo brudnym, bardzo głodnym, bardzo zmęczonym, strasznie wychudzonym, ale nawet ma się taką zastępczą rodzinę, jeśli można tak powiedzieć³⁷. Ja w obozie miałam „matkę obozową”, która się mną zajmowała, która dostarczała mi ciepła potrzebnego w wolnych chwilach, która, jak zachorowałam, potrafiła zorganizować wszystko, nawet posłać kogoś, kto rano mnie umył. Tyfus plamisty był fatalną chorobą spowodowaną przez wszy, które po nas chodziły. Mieszkaliśmy, spałam na trzecim piętrze łóżek, bo młodzi spali wysoko, na tak zwanym „trze-ciaku”. Jednego dnia spadłam na podłogę i okazało się, że jestem nieprzytomna, mam straszną gorączkę i tyfus. To było okropne.

Kto był tą matką zastępczą?

Moją matką zastępczą była Stanisława Łuniewska, Ślęzaczka z Chorzowa. Też z ZWZ, pokolenie starsza ode mnie, byłam bardzo dumna, że mogłam być jej córką obozową.

Zostawiła w domu trójkę dzieci, była urodzoną społeczniką, w dobrym znaczeniu tego słowa. Ona się wszystkimi opiekowała, zarządzała, umiała organizować, była bardzo rzutka, no i uznała, że takim półtora nieszczęściem, jak ja, trzeba się zająć. Przeżyła wojnę i dalej mi pomagała. Gdy dostałam trzymiesięczne stypendium w Paryżu, już jako lekarka, przyjechała do mnie zajmować się moją córką, więc dalej mi matkowała na wolności.

Przyjaźnie zawarte w trudnych czasach przetrwały...

Te przyjaźnie są prawdziwe.

Pamięta Pani wyjście za bramę obozową?

Wyjście z obozu, otwarcie tych bram, to było niesamowite przeżycie.

Wybiegli wszyscy?

Nie, wyprowadziły nas jeszcze Niemki, te straszne esesmanki, ale front był już blisko, samoloty alianckie nadlatywały od czasu do czasu. Niemki miały pod spodem cywilne, letnie suknie, gdy nadlatywały samoloty zdejmowały furażerki i wyrzucały mundury, to było coś tak niezwykłego. Staliśmy się wolni, tam pod tym Ravensbrück... Był koniec kwietnia.

Jaki był udział Szwedów w wyzwaniu więźniów z Ravensbrück?

Niezwykły był w tym wszystkim udział następcy szwedzkiego tronu, Folke Bernadotte. Szwedzi, jako sprzymierzeńcy Niemców uzyskali prawo ewakuowania chorych z obozu. Przyjechali jeszcze jak obóz normalnie funkcjonował, ze wszystkimi swoimi okropnościami i zabrali dwa transporty ludzi, takich już na ostatnich nogach, bardzo bliskich śmierci. Mieli też potem przysłać wagony, żeby pociągiem zabrać resztę. Szwedzi uzyskali od Niemców, pod naciskiem Bernadotte, specjalne zezwolenie – to właśnie dzięki temu zabrano część więźniów do Malmö.

Wybaczyła Pani Niemcom?

Ja tak, bo tych Niemców już nie ma. Widzę często młodzież niemiecką przyjeżdżającą zwiedzać Gdańsk i nie jestem w stanie ich obciążać. Nie wierzę w rasizm, nie wierzę, że są winni genetycznie czy w inny sposób. To są inni ludzie; każdy człowiek odpowiada za siebie.

Obciążanie wnuków winami ojców, dziadów czy pradziadów jest bezsensowne. Jedyną rzeczą, jaka mną kieruje w tym wszystkim, co mówię młodym opowiadając o Ravensbrück, jest przekonanie ich, że nie ma nic gorszego, jak przemoc i walka zbrojna. I że trzeba robić wszystko, żeby to się nigdy więcej nie mogło powtórzyć.

Wybaczyć można, ale pamięć...

Moim zdaniem właśnie pamięć jest konieczna, żeby to się nigdy nie powtórzyło.

Jakie są Pani powroty do Ravensbrück?

Ostatnio Niemcy zaprosili mnie jako „eksperta” do muzeum Ravensbrück. Powiedziałam im swoje zdanie, że to jest jednak Ravensbrück „light” (*śmiech*), to co oni tu przedstawiają i że to słabo reprezentuje obóz. Musiałam to powiedzieć. Na przykład: w wybielonym pomieszczeniu stoi piękna, oszklona szafa, a w niej stroje noszone w Ravensbrück, bardzo dobrze odprasowane, ani śladu brudu, wszy... Na dole stoją buty, drewniaki. No więc mówię im: to tak nie wyglądało! A co do butów to trzeba pod spodem dopisać, że dostawało się je w Ravensbrück tylko na zimę, a w lecie, wiosną i jesienią zabierali je i nogi przymarzały do ziemi...

Wtedy, jeszcze w kwietniu, gdy stało się parę godzin na apelu, w Brandenburgii ziemia była zamarznięta... Oni tego nie wiedzą, oni tego nie mogą wiedzieć. Zaś drewniaki, które się nosiło w zimie, zakrywały tylko palce. Ja nie mogę jeździć do Ravensbrück. Ostatnim razem zaproszono mnie do Sachsenhausen. Oranienburg, Ravensbrück i Sachsenhausen są obecnie pod jednym kierownictwem Ministra Kultury Brandenburgii, więc nie musiałam jechać do samego Ravensbrück, gdzie w ogóle nic nie ma. Mam zresztą straszne trudności w pojechaniu tam. W samym Ravensbrück byłam jedyny raz w życiu w latach 60. XX w. Nasze baraki i resztki obozu były zajęte przez Armię Radziecką. Władze NRD zrobiły wielką manifestację i uroczyste obchody. Nie pamiętam, co to już było dokładnie, jakieś obchody wyzwolenia obozu przez armię radziecką, prawdopodobnie. Był postawiony wielki stół, za którym siedziało pełno grubasów, NRD-owskich sekretarzy partyjnych, którzy gadali dwie, dwie i pół godziny o tym, jak to dobrze jest teraz w NRD. Ja się tam tak rozchorowałam, że postanowiłam już nigdy w życiu nie wracać. I nie byłam. Ale Sachsenhausen musiałam ostatnio obejrzeć.

Co jest najgorsze w Pani powrotach w te miejsca?

Pamięć o przyjaciółkach, które musiałam zostawić tam na wieki, to jest najgorsze. Było takich bardzo wiele. Dziewczynki piętnasto-
szesnastoletnie, które nie posmakowały prawdziwego życia, zostały tam na zawsze.

Z celi małoletnich na Pawiaku wyjechało nas, nie pamiętam już dokładnie, ale około piętnastu czy dwudziestu i połowa została w Ravensbrück na wieki. Część została rozstrzelana, jak na przykład 15-letnia Małgosia Dembowska. Straciła życie razem z matką. Czy wiejska dziewczynka, Lucyna Kiepus, która zakopała broń po kampanii wrześniowej. Niusię Rylke, która chorowała na gruźlicę, wywieźli z obozu i tylko z powodu choroby uśmiercili. A myśmy były bardzo żyte, tworzyłyśmy coś w rodzaju rodziny i połowa tam została.

I ta świadomość jest najgorsza?

Chyba jeszcze bardziej jakaś dziwna myśl, że się z tego wszystkiego wyszło. I dlaczego ja właśnie z tego wyszłam, a one nie?

A ulga, że się udało?

Tak, na pewno, tylko życie jest skomplikowane. Ja, widzi Pan, żyję długo, no a im się nie udało przeżyć więcej niż kilkanaście lat.

W Ravensbrück była jeszcze jedna znana osoba, Wanda Półtawska.

Nazywała się wtedy Wojtasik. Duśka była z mojego transportu i z najbliższego kręgu znajomych. Ona była „królikiem” doświadczalnym i przeżyła obóz jeszcze ciężiej niż ja, bo była eksperymentalnie operowana. Wstąpiła po wojnie na medycynę w Krakowie i wyszła za mąż za syna Adama Półtawskiego, o którym mówiliśmy. Do Ravensbrück przyjechała z lubelskiego więzienia. Przeżycia tzw. „królików” były straszne. Niemcy brali zdrowe, młode dziewczyny, łamali im nogi, wprowadzali bakterie, czasem śmiertelne – tężec, węglik. Niemiecki

lekarz Karl Gerbhardt, o zgrozo, profesor berlińskiego uniwersytetu, chwalił się tymi operacjami na posiedzeniach lekarskich. Wyobraźmy sobie upadek medycyny niemieckiej za czasów Hitlera. Gerbhardt na chłodno opowiadał, że dostał taki „towar”, do doświadczeń – kobiety pierwotnie skazane na karę śmierci, którym zamieniono wyrok na nieludzkie cierpienie.

Oddawano mu, po prostu, ludzi do doświadczeń: jednej łamano nogi, wstrzykiwano bakterie tężca, a drugiej łamano nogi i zostawiano, żeby cierpiała. Duśka była wśród nich. Gerbhardt zapewniał Hitlera, że znajdzie coś rewelacyjnego, co pozwoli szybko leczyć żołnierzy na froncie, którzy mają obrażenia kończyn dolnych. Wtedy nie było antybiotyków, więc te bakterie były groźne. Wąglik do dziś jest śmiertelnym zagrożeniem. Gerbhardt obiecywał, że jest w stanie wszystko wyleczyć, że musi tylko zrobić doświadczenie, dostawał więc ludzi do doświadczeń. Później, w Norymberdze, wyjaśniał, bez najmniejszego poczucia winy, że dokonywał ważnych odkryć. Ze wszystkich zbrodni faszystowskich, które widziałam, te były w swoim okrucieństwie najbardziej perfidne i do tego wykonywane przez lekarzy. Byli to profesorowie i asystenci Uniwersytetu Berlińskiego, a trzeba wiedzieć, że przed II wojną światową Berlin i Wiedeń były to najlepsze i cieszące się największym autorytetem ośrodki naukowe i kliniczne w medycynie europejskiej.

Spotkała go sprawiedliwa kara.

W Norymberdze dostał wyrok śmierci i został stracony, ale pięć dni zabrał podczas procesu opowiadając, jaki jest wielki i czego dokonał. Dla mnie najgorsze jest, że w Berlinie organizował zebrania naukowe, opowiadał o tych eksperymentach innym uczonym, lekarzom. Można sobie coś takiego wyobrazić? Ludzie, którzy złożyli przysięgę Hipokratesa!?

Trudno pomyśleć...

Wracając do Półtawskiej, otóż Duśka pojechała po wojnie do Krakowa, gdzie znalazła się również jej matka. Wstąpiła na medycynę, została psychiatrą. Jej matka była zawsze bardzo pobożna i silnie związana

z Kościołem. Jako dobra gospodyni starej daty robiła obiady przyszłym księżom i zapraszała seminarzystów, wśród nich był Karol Wojtyła. Tak się zaczęła ich znajomość.



Ryc. 29. Wanda Półtawska z mężem podczas wizyty w Watykanie
(późne lata 90.)

Duśka Półtawska, z właściwą jej egzaltacją, opowiadała księdzu Wojtyłe o obozowych nieszczęściach, co Jego zapewne przekonało, że należy nad nią rozłożyć szczególną duchową opiekę.

Ostatnio o Półtawskiej było głośno za sprawą pewnych listów dokumentujących przyjaźń z papieżem...

Czy należało wydawać listy od papieża – nie chcę się w tej sprawie wypowiadać. Obecnie rzadko się z Duśką widuję. Półtawska przeszła obóz bardzo ciężko – jej życie było zagrożone cały czas – najpierw w konsekwencji operacji, a następnie dowiedzieliśmy się, że Niemcy chcą zgładzić wszystkich, na których eksperymentowali, ażeby pozbyć się świadków. Po wojnie napisała przejmującą książkę

o Ravensbrück – *I boję się snów* – opis poniżenia, cierpień oraz nieludzkich eksperymentów medycznych.

Pod koniec wojny był już bałagan w obozie, przeludnienie straszne, chaos kompletny i w tym czasie „króliki” zostały przez więźniarki wszystkich nacji solidarnie w obozie ukryte.

Schować tam kogokolwiek było jednak nie lada sztuką. Na przykład, obozowa ekipa elektryczna, złożona z więźniarek czerwonoarmistek, na wieczornym apelu na moment wyłączyła światło. Dzięki temu na bloku zakaźnym udało się ukryć wysoko na strychu dwie osoby. Ktoś wyciął jedną deskę w suficie i tam od lutego do kwietnia przebywały więźniarki skazane na niechybną śmierć. Były to solidarne akcje wszystkich więźniarek w obozie...

Część ze zmienionymi numerami wyjechała w transporcie, a reszta wyszła po zakończeniu wojny.

CZĘŚĆ VIII

Praca w hospicjum

Wszyscy byli wolontariuszami

(Rozmowa odbyła się 2 lipca 2011 w mieszkaniu Joanny Muszkowskiej-Penson w Sopocie)

Czy pamięta Pani spotkania z Janem Pawłem II?

Tak, mam nawet z nim fotografię. Ojciec Święty przyjechał do Gdańska w 1987 r., była przy tej okazji jedna ważna dla nas sprawa. Biskup Gocłowski umieścił w programie pielgrzymki mszę dla hospicjów w Bazylice Mariackiej. Było to nieprawdopodobne wydarzenie, przyjechali wszyscy nasi podopieczni hospicyjni, bo wie pan, że nasze hospicjum było pierwsze w Polsce, założone przez pallotyńskiego księdza Dutkiewicza.

W stanie wojennym szpitale były w fatalnej kondycji. Lekarze byli zmuszeni wypisywać ciężko chorych domu. Beznadziejny stan chorego określano eufemizmem: „nie ma nic do zrobienia”, bo nie istniała opieka hospicyjna.



Ryc. 30. Jan Paweł II i Joanna Muszkowska-Penson, Gdańsk (1987 r.)



Ryc. 31. Ks. Eugeniusz Dutkiewicz,
twórca ruchu hospicyjnego (lata 80.)

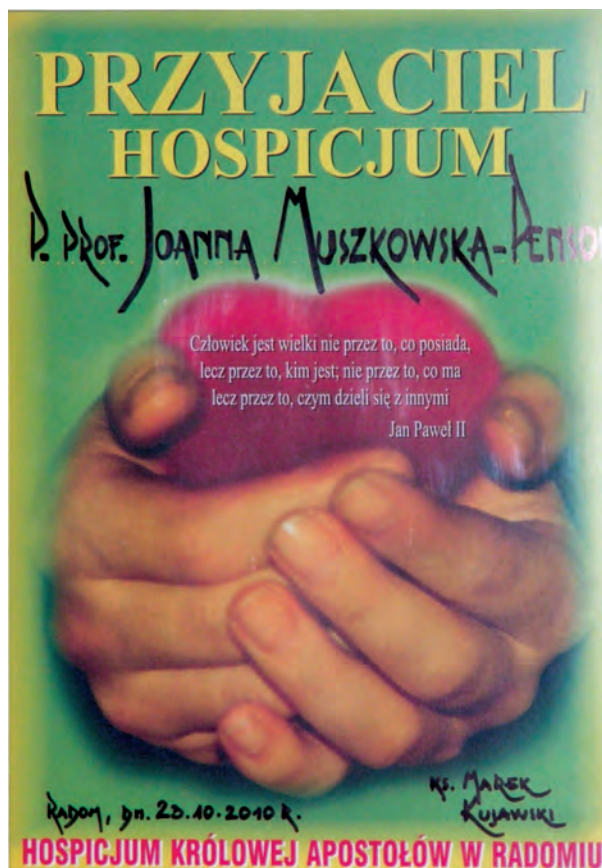
Nie można było skutecznie leczyć. Medycyna dochodziła do granic swoich możliwości. Chorymi opiekował się ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz, wspaniały człowiek, kapelan w szpitalu Akademii Medycznej, gdzieśmy pracowali. Ci chorzy, wypisywani do domu, zaczęli go błagać, by w dalszym ciągu przychodził do nich, bo byli z nim związani i potrzebowali go w tym trudnym okresie życia. Kiedy zaczął chodzić do domów, dopiero wtedy zobaczył nieszczęście chorych pozostawionych samym sobie. Wszyscy wychodzą z domu, idą do pracy, nie ma kto podać szklanki herbaty. Ksiądz Dutkiewicz nie znając idei hospicjum, nie wiedząc, że coś takiego istnieje, stworzył opiekę paliatywną. Z czasem okazało się, że sam ksiądz Eugeniusz jest niewystarczający, że chory potrzebuje innych ludzi, żeby pomogli: lekarzy, pielęgniarek, żeby ktoś ugotował zupę, podał herbatę, umył. Ksiądz Dutkiewicz zaczął zbierać ochotników. Najpierw przyszedł do mnie z pytaniem, czy ja bym mu nie pomogła odwiedzać chorych? Zgodziłam się. Potem zaczęliśmy przekonywać innych – wszyscy byli potrzebni, ludzie z każdego fachu. Mieliśmy nawet nauczycielkę, która zajmowała się odrabianiem lekcji z dziećmi, podczas gdy żona mogła siedzieć przy chorym mężu. Kucharka robiła rosół i zanosila do domu chorego.

Każdy był potrzebny w tych pustych domach. Wszyscy byli wolontariuszami. I tak powstało pierwsze w Polsce domowe hospicjum. Kiedy włączyłam się do zespołu, zaczęłam szukać na ten temat informacji w zagranicznym piśmiennictwie medycznym. Okazało się, że w Londynie jest pani Cicely Saunders³⁸, że już kilka lat wcześniej powołano Hospicjum świętego Krzysztofa, że jest to w ogóle nowy odcinek medycyny, że to są chorzy, przy których jest wciąż mnóstwo do zrobienia pod względem medycznym. Ksiądz Dutkiewicz zaczął jeździć po plebaniach, najpierw w naszej okolicy, a później po Polsce i namawiać innych proboszczów, żeby działali w podobny sposób, żeby zajęli się potrzebującymi w okolicy. I tak powstały w Polsce hospicja. Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że coś takiego już istnieje w świecie; z czasem, co medycznie tym chorym jest potrzebne, jak można łagodzić ich bóle i inne dolegliwości, a nawet je eliminować. I tak rozwinęła się cała nowa gałąź medycyny paliatywnej³⁹

Z czasem idea przekształciła się w działania instytucjonalne.

Miało to swoje minusy. Prawo Parkinsona mówi, że jak się położy czerwony dywan, to już nic nie potrzeba i instytucja sama sobie służy.

Chciałam powiedzieć, i to jest ważne dla mnie, że hospicja były właściwie pierwszymi organizacjami obywatelskimi w Polsce. Te instytucje powstały też przy udziale Lecha Wałęsy, który w czasie stanu wojennego jeździł po wielu parafiach, bo były to miejsca, gdzie mógł publicznie przemawiać. Wałęsa powtarzał wtedy: musicie się organizować. Mówił, jak prawnicy mają się organizować w instytucjach prawniczych, lekarze w lekarskich itd. Dodawał, że gdy osiągniemy niepodległość, to wtedy musimy już być zorganizowani. I rzeczywiście, to nasze hospicjum domowe to była pierwsza pozarządowa, przeciwrządowa, organizacja obywatelska. Dodam jeszcze, że wszyscy ci ludzie zaangażowani w ruch hospicyjny, pracowali też dla „Solidarności”.



Ryc. 32. Współczesny dyplom dla nestorki ruchu hospicyjnego w Polsce (2010 r.)

Czy dzisiejsze hospicja realizują tamtą ideę pomocy chorym?

Na pewno realizują, czyniąc ogromne wysiłki, ale rzeczywistość wymusza ograniczenia. Starzy nie mogą tak krytykować nowej rzeczywistości, bo wygląda na to, że mówią, iż tylko dawniej było lepiej. Wie Pan, u nas jednym chorym zajmowały się trzy pielęgniarki. Jedna przychodziła rano, druga po południu, a jak było potrzeba to następna

siedziała w nocy. Teraz, według Narodowego Funduszu Zdrowia, pielęgniarka, zdaje się, ma dziesięć minut dla chorego i jej zadaniem w tym czasie jest wykonać podstawowe czynności wokół podopiecznego i nauczyć rodzinę opiekować się nim. Ona nie może się solidnie zaangażować w tę pracę, zaprzyjaźnić z chorym, towarzyszyć mu w jego trudnej drodze, a w rodzinach bywa różnie. Może umierać bardzo ukochany mąż, czy ukochana żona, matka albo może umierać jakiś starzec, którym się nikt specjalnie nie przejmuje. Więc pozostawienie ciężaru opieki na barkach rodziny to już nie jest, dla mnie, hospicjum. Umierający nie otrzymuje tego potrzebnego mu wsparcia.

Wróciliśmy do tego, od czego się zaczęło, że ci chorzy nie mieli w domu opieki...

Jeżeli dzisiaj przychodzi do mnie pielęgniarka, żebym coś jej poradziła w sprawie opieki hospicyjnej nad chorymi, to ja pytam, ilu ma podopiecznych... Ona mi odpowiada, że dwudziestu. I ja już wiem, co to znaczy i jak ona może się nimi opiekować? To jest właśnie problem instytucjonalności. W instytucji jest pełno urzędników i procedur, które określają, ile minut jest przeznaczonych na wszystko. Ks. Dutkiewicz walczył z tym bardzo! Mówił, że pomoc paliatywna to nie jest wizyta lekarska, to jest towarzyszenie choremu. Sam był wzorem i ideałem hospicjanina, znajdującym wspólny język z każdym, wierzącym i niewierzącym, starym, młodym i dzieckiem⁴⁰.

Teraz wszystko zależy od ilości pieniędzy, a jeśli tak, to w pewnych dziedzinach system musi szwankować. Nawiasem mówiąc, mam przyjaciela, który czeka na protezę kolana, bo nie może chodzić. Ode mnie jest młodszy, ale jednak ma osiemdziesiąt sześć lat i powiedzieli mu, że czas oczekiwania to trzy lata. A on nie może chodzić...

Bez komentarza.

Ale urzędnicy natychmiast zaznaczyli, że może mieć to zrobione jutro, tylko musi dać osiemnaście czy dwadzieścia tysięcy złotych. To jest suma, której on w życiu nie widział jeszcze jako nauczyciel... Nic już więcej złego o służbie zdrowia nie powiem.

Za bardzo złych czasów komunistycznych u mnie w szpitalu było lepiej, naprawdę lepiej. Przede wszystkim nikt nigdy nic nie płacił, a jakby ktoś coś wziął od chorego, to wylatywał natychmiast z roboty. Pamiętam, że raz przyjechała biedna kobieta ze wsi z żywą kurą do szpitala. Pojawił się dylemat, bo kura zachowywała się bardzo niespokojnie, najpierw w jej koszyku, a później na naszych korytarzach, trzeba było coś z tą kurą zrobić, a nikt nie chciał tej kury od niej wziąć... Któryś lekarz powiedział, że tu nie wolno, że nie możemy wziąć od pani kury, proszę ją zabrać do domu. Przechodzę koło schodów, siedzi babina i zalewa się łzami, podchodzę do niej i pytam, co się stało? Przecież pani mężowi nie jest tak źle, dodaję. A ona mówi: jak to, pani, nie jest źle? Oni nie chcą wziąć kury, znaczy nie chcą go wyleczyć, znaczy zrezygnowali z leczenia go.

Ostatecznie kazałam z kury zrobić rosół (*śmiech*).



Ryc. 33. W mieszkaniu J. Muszkowskiej. Z prawej Jacek Ladorucki (Sopot, 3 maja 2012 r.). Fot. Z. Gruszka

CZĘŚĆ IX

Przyjaźń

Bo to jest jedyne uczucie całkowicie bezinteresowne.

(Rozmowa odbyła się 2 lipca 2011 w mieszkaniu Joanny Muszkowskiej-Penson w Sopocie)

Czy po tych wszystkich latach wierzy Pani ludziom?

Wie Pan, ja wierzę, że najszlachetniejszym ludzkim uczuciem jest przyjaźń, bo to jest jedyne uczucie całkowicie bezinteresowne, nie ma innego bardziej bezinteresownego. Matki do dziecka, czy męża do żony, czy kochanka do kochanki – to wszystko są uczucia w jakimś sensie interesowne. Zawsze jeden od drugiego coś chce, a prawdziwa przyjaźń jest jedynym uczuciem absolutnie bezinteresownym. Wierzę w przyjaźń i, jak to już wcześniej podkreślałam, wyżyłam dzięki prawdziwej przyjaźni.



Ryc. 34. W mieszkaniu w Sopocie (2012 r.). Fot. J. Ladorucki

A w ludzi Pani wierzy?

Nie każdemu należy wierzyć. To jest bardzo trudne pytanie, ja mogę tylko powiedzieć, że naprawdę wierzę w przyjaźń i w niektórych ludzi też wierzę. Ale tak w ogóle w ludzi...? Wie Pan, teraz jest przecież młode pokolenie, które jest dla mnie obce...

Co jest najważniejsze w przyjaźni?

Gdy mój wnuk stał się dorosły i wyjeżdżał z Glasgow do Londynu na stałe, napisałam mu w dziesięciu punktach, jaki powinien być przyjaciel.

W skrócie, przyjaciel pozostaje nim na zawsze i jest zawsze po stronie przyjaciela, niezależnie od jego losów, od tego, jak traktuje go społeczeństwo czy wrogowie. Zawsze powinien być po stronie przyjaciela. W każdej złej sytuacji, jaka go spotyka, gdy ktoś mu umiera, gdy dzieje się jakaś tragedia, chce mu pomóc w miarę możliwości. Przyjaciel nigdy nie zawiedzie. Za mojej młodości był wierszyk: „Przyjaciel wierny więcej znaczy niż skarb niezmierny”.

Jednak zwodzi nas czasem fałsz...

Tu może pomóc tylko intuicja, wyczucie, bo czasem ludzie się maskują. Domosławski też się maskował przed Kapuścińskim i zrujnował, bez powodu, pamięć po wielkim pisarzu. Pamiętam, że jak przełożyli na angielski Kapuścińskiego, to wszystkie witryny księgarskie w Wielkiej Brytanii były wypełnione jego książkami. Bardzo lubię czytać *Podróż z Herodotem*. To wspaniała książka, także dla bibliotekarzy. W doskonały sposób Kapuściński czerpie od Herodota i odbywa niezwykle współczesną reporterską podróż. Dzięki książkom Kapuścińskiego mój wnuk związał się z dziennikarstwem. Polubił zresztą nie tylko Kapuścińskiego, lecz i wielką literaturę rosyjską. Po angielsku przeczytał m.in. Dostojewskiego i Czechowa, prawie wszystko w wakacje, tu na moim tarasie na Karlikowskiej w Sopocie.

Czy przyjaźń jest ważniejsza od miłości?

Myślę, że jest koniecznym jej uzupełnieniem, ponieważ miłość jest jednak uczuciem – nie chcę powiedzieć – przemijającym, ale zmieniającym swój charakter z biegiem czasu. Nie można na emocjonalnym stanie budować życia. A na przyjaźni można wszystko budować...

Przepraszam, nie chcę filozofować, nie jestem filozofem.

W trakcie małżeństwa każdy się zmienia pod wpływem wieku, sytuacji, stosunku do otoczenia. Spotykają nas różne rzeczy, czasem dobre, a czasem złe. Sprostać temu może tylko przyjaźń. I dlatego poza miłością w małżeństwie konieczna jest przyjaźń.

Czy myśli Pani, że przepadło coś ostatecznie w czasie Pani życia, jakieś wartości, czy zniknęło coś z tego świata bezpowrotnie, ubyłoby czegoś?

Mnie się wydaje, że organizm człowieka żyje w pewnym rytmie: serce się kurczy w pewnym tempie, oddycha się w pewnym tempie, przewód pokarmowy pracuje w pewnym tempie, czyli że człowiek jest zaprogramowany do życia w określonym tempie. W nowych czasach ten rytm jest gwałcony nieustannie. Na pewno to przyspieszenie, w jakim się żyje jest niesłychanie niezdrowe i nieludzkie. I tak jak Panu mówiłam, nie rozmawia się teraz, a dawniej się rozmawiało. Tak samo mnie się zdaje, że to tempo nie pozwala istnieć pewnym wartościom duchowym, intelektualnym, nawet moralnym. Wszystko robi się bardzo szybko, trzeba się spieszyć. Ja nawet widzę to w stosunkach rodzinnych, że nie ma czasu, ani na wyrażanie swoich uczuć, ani na wyrażanie swoich myśli, ani na dzielenie się swoimi odczuciami. Na to nie ma w codziennym życiu czasu, a myśmy dawniej mieli czas na wszystko. Gdy zaczynałam pracować w Klinice Chorób Nerek Akademii Medycznej w roku 1949–1950, po pracy przychodziłam do domu, miałam czas dla mojej córki, dla mojego męża, dla domu, miałam czas dla siebie. Mogliśmy omówić różne sprawy, tym bardziej, że miałam męża starszego ode mnie, był jeszcze z tak zwanej starej dobrej szkoły. Wszystko umiał, i łacinę, i grekę, wszystko wiedział. Zresztą ubóstwiałam

ludzi z tamtej epoki, byli erudytami. Jak Pan pyta, co się traci, odpowiadam, że wydaje mi się, że traci się bardzo dużo z życia pozamaterialnego, duchowego, uczuciowego, z powodu pośpiechu, któremu człowiek jest poddany wbrew prawom organizmu.

Można to zmienić?

Nie można zmienić, bo gonimy maszyny. Jeżeli, powiedzmy, ja zwracałam się do mojego przyjaciela, którego chciałam podnieść na duchu, bo stracił pracę, którą kochał i musiał sobie szukać jakiejś innej, to pisałam czterostronicowy list. Przekonywałam i dawałam mu swoje argumenty, ilu to ludzi znalazło lepszą pracę, gdy stracili tę, którą uważali za najlepszą i dołączałam różne inne własne przemyślenia. Ten list szedł do niego około tygodnia, później on mi odpisywał, trwało to też kilka dni. Teraz stukam w klawiaturę i e-mail dochodzi w sześćdziesiąt sekund, a za sześćdziesiąt sekund dostaję odpowiedź. To co ja mogę napisać? Chyba to, co mój brat mi napisał, jak zdawałam maturę – przysłał mi depeszę, bo nie było go w Warszawie wtedy, która brzmiała: „nie nawalaj, zdali gorsi”. Myślał o sobie (*śmiech*).

Myśli Pani, że ludzie brną w jakiś kryzys i że to ich wyczerpie?

Myślę, że ludzie się zbuntują, bo stali się niewolnikami, praca jest niewolnictwem. Dawniej praca była przyjemnością, ale jeżeli życie składa się z pracy od ósmej do ósmej, bo Pan ma jedną posadę, albo drugą, albo trzecią, bo Pan jeszcze dorabia, bo trzeba zarobić na dom i tak dalej... Człowiek ma inne potrzeby poza pracą. Myślę, że te wszystkie rozwody, porzucone dzieci, są konsekwencją straszного tempa. Mam kuzynów we Francji, w Paryżu, którzy się rozeszli, mają dwoje dzieci, które trzy dni w tygodniu spędzają z matką, gdzie mają swój pokój, a trzy dni z ojcem... Pan sobie wyobraża, co wyrasta z takich dzieci? Te dzieci nie mają domu, nie mają środowiska.

Więc ja myślę, że to jest wynikiem tego, że do domu każdy przychodzi strasznie zmęczony po niewolniczej pracy całego dnia. Myślę też, że ludzie się zbuntują przeciwko temu, żeby życie składało się

wyłącznie z zarabiania pieniędzy. Mój ojciec bardzo dużo pracował, ale jednak ja miałam możliwość przebywania z nim, a myślę, że dzieci teraz nie mają możliwości rozmawiania ze swoimi ojcami, może z matką, jeśli nie pracuje...

Współczesne korporacje podsuwają nam, że w pracy należy budować bliskie relacje, że weekendy dobrze jest spędzać ze swoimi współpracownikami. Czy jest od tego ucieczka?

Właśnie dlatego mnie się wydaje, że dla ogromnej większości ludzi religia odgrywa wciąż jednak dużą rolę, mimo że nie jest dostosowana do współczesności. Dla wielu to tradycja, którą mają we krwi, do której są przyzwyczajeni, która wciąż stanowi wartość i punkt odniesienia.

W Pani życiu dość szybko stało się tak, że kogoś zabrakło. Mam na myśli Pani męża...

Po śmierci męża w 1971 r., było mi bardzo ciężko. Pewien chirurg, przyjaciel mojego męża, powiedział mi, że ci obecni „przyjaciele” będą odpadać ode mnie jak gruszcзки... I tak też się stało. Nie byli to przyjaciele, tylko ludzie interesowni, którzy potrzebowali czegoś od mojego męża...

Zostałam straszliwie sama. Wyrzucili mnie z pracy... Kierownikiem kliniki po mężu został pewien człowiek, dla którego Jakub wiele zrobił dobrego. Dzięki niemu, w czasach komunistycznych, był trzy razy w Ameryce. Kosztowało to mojego męża dużo wysiłku, wykorzystał dla niego kontakty i znajomości w Ministerstwie Zdrowia. Pobyt za granicą był wtedy niezwykle nobilitujący dla lekarza. Z tego też powodu zrobili go później kierownikiem kliniki. A on pierwszą rzecz, na jaką wpadł było postanowienie, aby się mnie pozbyć. Proponowali mi wszystkie posady, jakie wtedy były: kierownika oddziału, najpierw w Trójmieście, potem w Bydgoszczy i Słupsku. Nie było łatwo mnie wyrzucić, bo miałam habilitację, doktorantów, miałam też swoją pozycję u pacjentów.



Ryc. 35. Prof. Jakub Penson inauguruje rok akademicki
w Akademii Medycznej w Gdańsku (lata 60.)

Kiedy zmarł mój mąż, nasza córka dostała się na studia lekarskie. Chciałam jej przekazać trochę medycyny mojego męża, więc jeszcze przez pewien czas tkwiłam w tych bardzo ciężkich warunkach. Nowy kierownik robił mi publiczne awantury przy asystentach. Skończyło się na tym, że miałam dosyć i odeszłam. Miałam wtedy bardzo ciężkie życie.

W międzyczasie jednak, na emeryturę przeszedł kolega, który pracował w gdańskim Szpitalu Wojewódzkim. Szpital ten jest położony koło Stoczni Gdańskiej. W stoczni funkcjonowała tylko interna i medycyna pracy, która kwalifikowała robotników do pracy. Nie było jednak żadnej specjalistycznej medycyny. Zostałam ordynatorem Oddziału Wewnętrznego w Szpitalu Wojewódzkim. Później byłam z tego powodu bardzo szczęśliwa, bo był to jedyny szpital obsługujący Stocznę, a rok był wtedy 1980.

CZĘŚĆ X

Biuro Lecha Wałęsy

...niezależność Wałęsy mi imponuje

(Rozmowa odbyła się 3 lipca 2011 i 1 maja 2012 r. w mieszkaniu Joanny Muszkowskiej-Penson w Sopocie)

Jakim szefem jest Lech Wałęsa?

Uroczym! (*śmiech*) Lech Wałęsa to jedyny polski bohater okresu „Solidarności” o światowej pozycji. U wielu budzi to zazdrość i bezsilną złość – niestety. On jednak ma znakomitą głowę. Droga, jaką przeszedł to jest coś nieprawdopodobnego. Pierwszy raz słyszałam Wałęsę w osiemdziesiątym roku, jak nie mógł właściwie sformułować zdania. W tej chwili wygłasza wspaniałe referaty, ostatnio w Uniwersytecie Gdańskim dla studentów, używając wszystkich obcych wyrazów, nigdy w niewłaściwym kontekście. Jest wspaniałym mówcą, słyszę nieraz wielu ludzi przemawiających, on jest z reguły najlepszy. I to jest kompletny samouk, fenomen umysłowy. Niezwykłe były „przypowieści”, jakimi się posługiwał w czasach „Solidarności”... Na przykład – pytanie, rzecz dzieje się na stadionie: Panie Przewodniczący, ale jak my już będziemy mieli tą niepodległą Polskę, to jaka będzie rola „Solidarności”, wtedy w tej nowej Polsce? Wałęsa odpowiedział: Proszę państwa, jak my będziemy mieli wolną Polskę, to znaczy, będziemy mieli wielki, piękny słoneczny dom. To co państwo myślicie, to kto by chodził do piwnicy? Pewnie czasem się tam pójdzie powspominać, ale przecież nie będzie się tam siedzieć (*śmiech*). To jest po prostu mądry człowiek. Po nim widać, jak to trzeba odróżnić wykształcenie od mądrości...

Kim dla Pani jest Wałęsa?

Lech Wałęsa jest bohaterem naszych czasów. Będąc dawniej, w okresie walki, w jego otoczeniu zrozumiałam, że bez jego mądrości i charyzmatycznego przywództwa, nigdy nie doszłoby do zwycięstwa. W tamtej rzeczywistości, państwie mieniącym się robotniczym, Wałęsa był dla opozycji mężem opatrnościowym: dumny robotnik

o nieprzeciętnej inteligencji, patriota, odważny, z darem przywód-
czym – był jedyną osobą, która mogła poprowadzić NSZZ „Solidar-
ność”. Wobec tak wielkiej różnicy sił i możliwości obu stron konflik-
tu, żadnym racjonalnym rozumowaniem nie można było przewidzieć
zwycięstwa opozycji i to osiągniętego drogą kompromisu.

Czy Pani rozumie do końca Wałęsę?

(chwila zadumy) Jest to ktoś bardzo osobny, indywidualność. Ma
swoje przekonania, swoje rozumowanie i decyzje, które są absolutnie
niepodważalne. Z niektórymi jego opiniami mogę nie być w pełnej
zgodzie, ale niezależność Wałęsy mi też imponuje. To człowiek abso-
lutnie zdecydowany, choć bez przygotowania, kieruje się swoim nie-
zwykłym, nietuzinkowym rozumem.



Ryc. 36. Z Lechem Wałęsą w jego mieszkaniu na gdańskiej Zaspie (lata 80.)



Ryc. 37. Joanna Muszkowska-Penson rozmawia przez bramę Stoczni z Lechem Wałęsą, sierpień 1980 r.

Jak Pani trafiła do kancelarii Wałęsy?

W Glasgow strasznie cierpiałam, że go opluwają. Uważałam że to jest straszne, a sytuacja przypominała mi to, co dawniej robiono z Piłsudskim. A to, że był szpiegiem niemieckim, a to że rosyjskim. Przecież to człowiek, bez którego absolutnie nie doszłoby do zwycięstwa „Solidarności”. Pamiętam tych wszystkich intelektualistów, którzy tu przyjechali pomagać w strajku: Mazowieckiego, Geremka

i innych. *Notabene*, to było śliczne, oni przyjechali i dali Wałęsie pismo, deklarację intelektualistów, że popierają strajk. Wałęsa powiedział: A co mi z tego papieru? Chcecie pomagać to zostańcie tu. I rzeczywiście zostali. Intelektualiści zawsze skupieni dyskutowali, filozofowali, po czym przychodzili i pytali: Lechu to, co w końcu robimy? (*śmiech*).

A czy Wałęsa ma dalej swoją charyzmę z tamtych lat?

Za granicą uwielbiają go wszyscy, szaleją, jak przyjeżdża, na wszystkich kontynentach. Niedawno przyjechał do nas Tunezyjczyk i powiedział, że tunezyjskie elity, ci, co tam robią rewolucję, żądają, żeby przyjechał Wałęsa, bo jego wszyscy tam potrzebują. Za granicą on ma nieprawdopodobne powodzenie, wszędzie.

Czy Pani towarzyszy Wałęsie w podróżach?

Ja, niestety, już nie mogę. Jestem za stara i poza tym już bardzo nie lubię pokazywać się publicznie.

Ale pewnie śledzi Pani wszystkie poczynania Wałęsy za granicą?

Staram się pomagać w różnych sprawach. Ostatnio jechał na jakąś rocznicę Gandhiego, więc zajmowałam się Gandhim. W kancelarii zwykle bardzo dużo się dzieje. Na przykład podczas obchodów 25-lecia Nobla dla Wałęsy w uroczystościach wzięło udział ponad tysiąc osób, w tym: Tony Blair, Madeleine Albright, Nikolas Sarkozy, Jose Manuel Barosso. Był nawet Dalajlama, który na przywitanie, nie wiadomo dlaczego, pocałował mnie w rękę. To zdjęcie obiegło gazety, bo Dalajlama przecież nie wita się w ten sposób.

Dawniej bardzo słabo znałam się na polityce, ale ostatnio, mając komputer, stało się to łatwiejsze... (*śmiech*).



Ryc. 38. Z Dalajlamą (2008 r.). Fot. Maciej Kosycarz/KFP

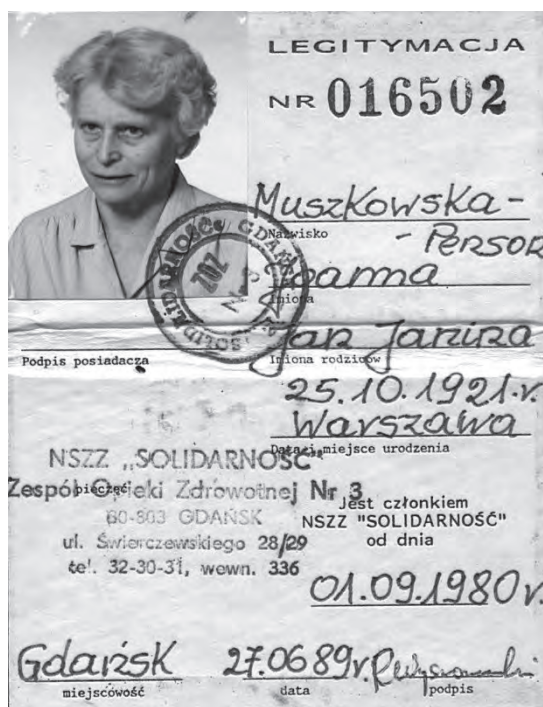
Podobno Pani jako lekarz jest „gotowa pójść na każde wezwanie do kogoś potrzebującego pomocy”. To cytat z *Drogi do wolności* Wałęsy.

(*śmiech*). Historia była taka, że w Ruchu Młodej Polski, który powstał jeszcze przed „Solidarnością” i w którym Wałęsa również uczestniczył, był jeden młody lekarz, Piotr Dyk, pracujący na moim oddziale i jednocześnie zajmujący się Wałęsą. Potem w stanie wojennym ten medyk z całą rodziną wyemigrował, zresztą przy pomocy Lecha, do Stanów Zjednoczonych. Miał go zastąpić inny kolega, ale też wyjechał na stypendium zagraniczne. Jeszcze przed wyjazdem zwróciłam się do dr Dyka, że ja bym bardzo chętnie zaopiekowała się Wałęsą. Jemu wydało się to nawet dziwne, gdyż byłam jego szefową, ale poszliśmy do Wałęsy oznajmić, że teraz ja będę się nim zajmować. A Wałęsa na to:

Co, kobieta?! Będzie mnie badać?! Nigdy! Nigdy się na to nie zgodzę. No, ale potem się zaprzyjaźniliśmy i tak zostałam lekarzem Wałęsy⁴¹.

Miała Pani też bogate kontakty z organizacją Lekarzy Świata – Médecins du Monde Kouchnera?

Dalej kontaktuję się z Bernardem Kouchnerem. Ostatnio Kouchner był zaproszony na 25-lecie Nobla Wałęsy, przyjechał jako minister spraw zagranicznych, otoczony ochroną i ktoś mu powiedział, że Pen-sonowa siedzi na sali. Przegadaliśmy wtedy cały wieczór, bo mamy wiele wspólnych wspomnień, po prostu. Dziennikarze byli oszołomieni, pytali, kim jest ta staruszka, z którą minister rozmawia?



Ryc. 39. Legitymacja NSZZ „Solidarność” (1980 r.)

Pani Profesor stara się umniejszyć swoją rolę w tym wszystkim, co się działo w historii, w wydarzeniach na Wybrzeżu, ale przecież wiem, że jest Pani członkiem honorowym „Solidarności” Portu Gdańskiego ze względu na udział w strajkach i pomoc strajkującym...

A skąd Pan to wszystko wie?

Z Internetu...

Żartuje Pan! (*śmiech*) Czy oni nie mają co pisać; ja przecież nikomu się nie zwierzam z takich rzeczy...

Poza tym jest jeszcze *Encyklopedia „Solidarności”*.

Obecnie powstaje w Gdańsku Muzeum II Wojny Światowej. I jego twórcy strasznie mnie maltretują... A gdy się opieram, że nie mogę, że nie mam czasu, to mówią, że już nie ma nikogo, kogo mogą pytać o II wojnę światową, że nie ma żadnego świadka. Nigdy się nie czułam i nie chcę się czuć nikim wyjątkowym. Jestem tylko długowieczna.

Odnoszę wrażenie, że jest Pani niezwykle skromną osobą. A w różnych źródłach przeczytałem o tym, że miała Pani wyjątkowe serce dla chorych, że ukrywała opozycjonistów, chroniąc ich, kładła na swoim oddziale. Czy ktoś, o kim ludzie tak dobrze mówią, mógł albo powinien spokojnie odejść na emeryturę i wyjechać na 16 lat do Glasgow, żeby zajmować się rodziną? Czy czuła się Pani bardziej potrzebna tam niż tutaj?

Po pierwsze: ja mam też swoje ciemne strony, swoje ciężkie przeżycia. Nie jestem bez skazy i o tym nie lubię mówić. Nawet Panu nie powiem. A poza tym nie ma Pan pojęcia i nie może mieć pojęcia, kto to jest wnuk. Wnuk to jest ktoś ważniejszy niż własne dzieci, dlatego, że jak się jest młodym, jak się ma życie przed sobą, to się nie docenia dziecka. Niektórym młodym ludziom dzieci przeszkadzają, mówią, że

nie mogą iść na bal czy robić, co chcą, bo muszą się zajmować dzieckiem. Jak się jest starym, to ma się czas i ma się pojęcie, że dziecko to jest cud. Inne zupełnie jest uczucie do wnuka. To jest coś niezwykłego. Kiedy jest się starym, to się docenia dziecko, jak ono rośnie, jak zaczyna rozumować, rozwijać się psychicznie, intelektualnie; to jest coś cudownego.

Zatem, po pierwsze, zrobiłam sobie wielką przyjemność, po drugie, poszłam na emeryturę, więc musiałam się odzwyczaić od uprawiania medycyny, którą zajmowałam się czterdzieści parę lat. Opieka nad wnukiem pomogła mi w jakimś sensie. Córka z mężem musieli zdawać dziesiątki egzaminów, zacząć normalnie żyć i pracować za granicą, co nie było łatwe, bez kolegów i przyjaciół z młodości. Życie na obczyźnie jest zupełnie inne i piekielnie trudne. Owszem, łatwiej o byt materialny, ale pod względem psychicznym ten brak środowiska, to ogromna zmiana.

Moją córkę trzyma od początku za granicą to, że ona jest niezwykle zamiłowana w medycynie. Pracuje naukowo i jak każdy naukowiec ma nadzieję, że odkryje coś wielkiego i ważnego. To jest jej wielka pasja.

Nie żałuje Pani, że córka została za granicą?

Nie, bo na to złożyły się różne okoliczności. Córka i zięć, jeszcze przed stanem wojennym byli z grupą kolegów-lekarzy z Gdańskiej Akademii Medycznej na Malcie. Tam angażowano wtedy Polaków, gdyż lekarze brytyjscy, którzy pracowali na wyspie do odzyskania niepodległości, wyjechali. A ich miejsce zajęli Polacy, Czesi i Słowacy. Kiedy zostały podpisane porozumienia gdańskie i trwał, tak zwany, karnawał „Solidarności”, pojechałam ich odwiedzić. Polskie środowiska za granicą dyskutowały wówczas od świtu do nocy, co robić. Istniała obawa, że ich już nie wpuszczą do Polski, albo, że zostaną w jakiejś niewygodnej dla siebie sytuacji. Później rozjechali się, część pojechała do Afryki Południowej, do Johannesburga, część do krajów europejskich. Mój zięć w swoim czasie znalazł się na praktyce studenckiej w Szkocji i pewien profesor, u którego praktykował, zaprosił go do siebie wraz z żoną.

W ciągu kilku lat trwania stanu wojennego nostryfikowali dyplomy. Córka zdała dziesiątki egzaminów, specjalizacji pierwszego i drugiego stopnia, doktoryzowała się tam i tak już zostali, zakotwiczyli się. Ja zresztą byłam u nich parę tygodni, gdy urodził się mój wnuk...



Ryc. 40. Córka, Anna Dominiczak, z synem Piotrem (lata 90.)

Na początku było ciężko. Ale matka rozstaje się z córką jak ta wychodzi za mąż, a nie jak wyjeżdża. Jak wychodzi za mąż to w jakiś sposób to rozstanie, to „przecięcie pępowiny”, już następuje. Córkę się oddaje, ona zaczyna życie na własny rachunek i to jest właśnie ciężkie, to jest to rozstanie. Dzieci nie wychowuje się dla siebie, jak mówi przysłowie, i to jest słuszne. Nie powinno się ich „hodować” dla siebie, bo inaczej odbiera się im możliwość wyboru, możliwości działania. Są takie

mamy, co trzymają córki przy sobie, jako lekarz znalazłam takie pary – matka z córką. Córka nie może wyjść za męża, bo mamusia choruje albo wydaje jej się, że choruje i córka koniecznie musi być w domu. Tadeusz Boy-Żeleński, pisał: „Smutny obraz: mama pod rękę z córką na Plantach w niedzielę”.

Jak wyglądają dzisiaj Pani kontakty z córką?

Anna codziennie do mnie dzwoni. Za każdym razem jednak w pierwszych słowach mówi: „Słuchaj, ja mam strasznie dużo jeszcze roboty, będę pracowała do trzeciej w nocy”, a ja jej odpowiadam: „słuchaj, po co ty to mówisz, miałybyśmy już te pół minuty więcej” (*śmiech*). Ona zawsze tak zaczyna, ale naprawdę jest bardzo zajęta. Tak to jest z tymi rodzicami, stają się później ciężarem. Tak naprawdę nie chciałabym być nigdy ciężarem.



Ryc. 41. Anna Dominiczak odznaczona Orderem Imperium Brytyjskiego przez królową Elżbietę II (2005 r.)

Pani nigdy nie miała pokusy, żeby być politykiem, jednak niektórzy w momencie, gdy Wałęsa został prezydentem chcieliby wraz z nim zamieszkać w Pałacu Prezydenckim i piastować jakieś urzędy. Pani zaś stwierdziła: Idę na emeryturę, wyjeżdżam!

Ależ ja nie jestem politykiem! Nie mogłam pomagać jako doradca czy ktokolwiek inny. Ja nie byłam potrzebna, że tak powiem, aczkolwiek Lech mi proponował. Muszę powiedzieć, że mieszkałam nawet tydzień w Belwederze, żeby poznać jego nowego lekarza, docenta Gila, razem z nim pobadać Lecha... Było mi nawet smutno zostawiać wszystkich przyjaciół, ale ja nie byłam tam potrzebna. Musi Pan zrozumieć, ja nie byłam politycznie ważna. Nie mogłam być przydatna.

Są politycy w naszym kraju, którzy nie uważają, że do działalności politycznej są potrzebne kwalifikacje, predyspozycje i wykształcenie...

Widzimy często tego oplakane skutki.

Jak Pani ocenia świat dzisiejszej polityki?

Widzę jak w polityce i w społeczeństwie narasta nienawiść. Mam nieszczyćcie zajrzeć czasem do Internetu – co ludzie piszą, kiedy czują się bezkarni, bo nie podpisują się imieniem i nazwiskiem... To przecież coś niewyobrażalnego! Czytam, co piszą o moim szefie internauci, młodzi ludzie. Wynika z tego, że oni nic nie wiedzą, nic zupełnie nie rozumieją, nie są w stanie wczuć się w sytuację człowieka w państwie totalitarnym. Nie wiedzą, czym ryzykował Wałęsa, jaka to musiała być odwaga, jak mało ludzi w ogóle zdobywało się na przejście do opozycji. Krytykują, zupełnie nie rozumiejąc.

Nie wyobrażałam sobie, że ktoś, kto już umie dobrze pisać, skończył szkołę, może się wyrażać w tak brutalnych, tak okrutnych, tak strasznych słowach. I w tym jest jakiś ukryty potencjał nienawiści gotowej do robienia czegoś podobnego, co miało już nieraz miejsce w historii. Bo najpierw trzeba nastawić ludzi na nienawiść jednych do drugich, żeby potem robić Holokaust, wywoływać wojny.

Dawniej, przed wojną albo w czasach opozycji, kiedy mówiono o patriotyzmie, używano trzech ważnych terminów: Bóg, Honor, Ojczyzna. Jaką wartość dzisiaj mają te trzy słowa? Czym obecnie jest patriotyzm, jakich haseł wymaga?

To bardzo trudne pytanie. Zdaje mi się, że patriotyzm powinien polegać głównie na obronie, za każdą cenę, zagrożonej ojczyzny. I że patriota powinien wystrzegać się megalomanii, szowinizmu, traktowania swojego kraju i narodu jako czegoś absolutnie lepszego, wyższego, pogardzania innymi.

To jest trudna sprawa, bo widzę, że w Unii Europejskiej, w tej chwili aktywizują się ruchy nacjonalistyczne. Ruchy, w których ludzie nie chcą integracji, europejskiej unifikacji. Jest to jednak pytanie dla mnie, jako dla nie-polityka, zbyt trudne.

Moje pytanie o wartości patriotyczne nie było pytaniem do polityka, ale do przedwojennej inteligentki, intelektualistki. Czy uważa Pani, że nadal powinniśmy o tym uczyć w szkole młodzież?

My tak byliśmy wychowywani i nie sprzeniewierzyliśmy się temu, co pokazuje historia. Chłopcy z mojego pokolenia ginęli na wszystkich frontach, w obozach koncentracyjnych i w powstaniu warszawskim.

Ale dla współczesnych nastolatków te hasła są obce. Telewizja zrobiła wśród młodzieży sondę, podczas której pytano: co dla ciebie znaczy Polska? Niektórzy z nich odpowiedzieli: „Polska dla mnie nie znaczy nic”. To było przerażające. Ale może ta odpowiedź jest do pewnego stopnia naturalna, bo niektóre elementy wychowania służące samoidentyfikacji są obecnie negowane. Zastanawiam się ostatecznie, czym jest polskość współcześnie?

Trzeba uwzględnić to, że Polska jest w tej chwili otwarta na świat. Stąd ci ludzie zupełnie inaczej postrzegają otoczenie niż moje pokolenie. Młodzież jeździ po świecie i czerpie ze świata. Ich przywiązanie

do Polski trzeba w nich obudzić na podstawie historii i literatury. W moim rozumieniu nie ma żadnej sprzeczności w byciu Polakiem i byciem Europejczykiem. Byłabym za tym, żeby w sporze o przeszłość, której trochę jestem bliżej, lepiej uczyć historii. Myśmy chłonęli patriotyzm z dziejów Polski, z literatury, z Żeromskiego. Zdaje mi się więc, że patriotyzmu nauczyliśmy się na własnej historii, na powstaniach, na walkach o wolną ojczyznę i wiele elementów walki pod okupacją niemiecką było przecież powtórzeniem walk powstańczych, dawnych dziejów Polaków.

Ci, którzy przyglądają się polskości z zewnątrz, często mówią: skończcie z tą historią, zacznijcie żyć tym, co teraz, a najlepiej przyszłością. Podobno to, co jest najgorsze w polskości – to myślenie historyczne.

Myślenie o sobie jak o ofierze, jako o Chrystusie Narodów, jako narodzie wiecznie umęczonym i atakowanym – to może rodzić pesymizm i niewiarę w przyszłość.

Czy jest jakaś recepta na to, żeby połączyć polską tradycję z nowoczesnością?

Czego Pan ode mnie wymaga... (*śmiech*) Mogę dać receptę na zapalenie kłębków nerkowych...

Pytam, na ile zmodernizowana Polska powinna wyzbywać się pamięci?

Tradycji i pamięci? Nie. Wiem tylko, że jesteśmy na pewno w jakimś przełomowym momencie, bo widzę tyle różnic w stosunku do tego, co było dawniej. Myślę, że do tej starej recepty na patriotyzm trzeba dodać nową. Trzeba przekonać i pozyskać tę młodzież, która ma łączność ze światem, która dostrzega wszystko, co w świecie najlepsze, która nie jest ograniczona do tego, co tutaj w Polsce. Trzeba bardzo dobrego i przemyślanego programu dla ludzi młodych, żeby ich przyciągnąć i związać z tym krajem.

Proszę pomyśleć, gdy mieszkalam w Wielkiej Brytanii, było tam około miliona Polaków. Oni przywieźli ze sobą na przykład przywiązanie do religii. Gdy przyjechałam do Glasgow, był jeden polski ksiądz, a gdy wyjeżdżałam, było ich już szesnastu i kilka kościołów, w których odbywały się nabożeństwa i sakramenty po polsku. Z drugiej strony życie w innym kraju powolutku robi z nich, a w szczególności z ich dzieci i wnuków, Brytyjczyków. Polska stara emigracja wojenna, miała polski klub i całą organizację emigracyjną obchodzącą rocznicowe uroczystości. W drugim pokoleniu było już niewiele osób, które się tym interesowały i niewielu, którzy mówili po polsku. A w trzecim pokoleniu zaproszenia na spotkania do polskiego klubu przychodziły wyłącznie w języku angielskim. Mało kto umiał formułować zaproszenia po polsku. Jest to więc jakaś miara tego, jak ludzie przesiąkają miejscem, w którym żyją. Nie znam całkowitej liczby młodej polskiej emigracji, ale jest to liczba wielomilionowa. Część tych ludzi zechce wrócić do Polski, kiedy sytuacja się poprawi.

Ci, którzy chcą dzisiaj uczyć patriotyzmu, muszą te zmiany w świecie brać pod uwagę.

Pani życie było wypełnione pracą. Chciałbym zapytać o motywację, czy zawsze była taka sama? Na przykład teraz, u Wałęsy, jest tak samo jak dawniej, kiedy wykonywała Pani pracę zawodową, lekarską? Czy motywacja do wyzwań zmienia się w ciągu życia?

Motywacją w mojej pracy było to, co stanowi sedno medycyny. Musiałam zostać lekarzem dlatego, że medycyna jest jedynym fachem, który zawsze się przydaje. Wszędzie można pracować lecząc. Miałam możliwość nauczania się fachu od męża, który jeszcze przed wojną był znakomitością internistyczną. Możliwość wykonywania tej pracy była moją motywacją do życia. Natomiast teraz jestem bardzo wdzięczna Lechowi, że nie przeraził się mojej starości i przyjął mnie do biura. Jak czasem nie idę do pracy, bo biuro jest zamknięte, to widzę, że zginęłabym, jakbym nie miała możliwości udzielania się tam.

Przed wszystkim trudno jest wstać z łóżka, jak jest się tak starym. Więc pewnie długo bym spała, powiedzmy, do dziesiątej. I co potem? Pusto, samotnie, bez celu żadnego, nie można się do niczego przydać.



Ryc. 42. Przed Pomnikiem Stoczniovców, Gdańsk (2012 r.)
 Fot. Krzysztof Mystkowski/KFP

Jak nazwałaby Pani tę motywację teraz, gdy wciąż chodzi Pani do biura?

To konieczność przydatności! Chcę być przydatna. W miarę swoich możliwości – nie muszę się zajmować medycyną! Medycyna poszła naprzód; ja się zestarzałam. Zawsze lubiłam być przydatna i to mi nadal sprawia przyjemność.

Muszę powiedzieć, że słuchając Pani opowieści uważam, iż ta decyzja o wyjeździe do wnuka i przejściu na emeryturę, była niezwykła!

Tam też byłam przydatna, opiekując się moim wnukiem. On był taki uroczy! Pokazałabym Panu, jakie on do mnie pisał listy mając sześć lat... (*śmiech*).

CZĘŚĆ XI

„Solidarność”

*Spotykaliśmy się u księdza Jankowskiego
w parafii św. Brygidy...*

(Rozmowa odbyła się 3 lipca 2011 i 2 maja 2012 r. w mieszkaniu Joanny Muszkowskiej-Penson w Sopocie)

Zna Pani całą opozycję z Trójmiasta?

Prawie. Spotykaliśmy się u księdza Henryka Jankowskiego w parafii św. Brygidy. Jankowski jeszcze wtedy nie był ekstremistą politycznym, zachowywał się zwyczajnie. Spotykaliśmy się tam w niedzielę. Wszyscy się schodzili, Lech wygłaszał przemówienia. SB nie wchodziła na teren kościoła, stali wkoło, nagrywali. U św. Brygidy, zarówno Wałęsa, jak i Jankowski pozwalali sobie w przemówieniach na bardzo dużo... Do Brygidy przychodziło całe opozycyjne środowisko.

Ja miałam wtedy bardzo ciekawe życie, bo przyjeżdżali tu różni mądrzy i wielcy ludzie.

Na przykład kto?

Na przykład przyjechali wtedy do nas François Mitterand i Margaret Thatcher. Władze w ogóle były dość sceptyczne co do wizyt ważnych osobistości z zachodu Europy. Straszyły, że w „Solidarności” jest bojówka, która może ich zabić i rząd nie może odpowiadać za ich bezpieczeństwo. Wizyta Thatcher w tamtym czasie w Polsce miała szczególny wymiar. Władzom komunistycznym bardzo zależało żeby Żelazna Dama przyjechała do Polski ze względu na umowy handlowe. Z drugiej strony Thatcher borykała się wtedy ze strajkami górników w Londynie i zależało jej na polskim węglu, więc obie strony były skłonne do ustępstw. Pani Thatcher powiedziała, że nie boi się „Solidarności” i, że nie przyjedzie do Polski, jeśli nie będzie mogła zobaczyć się z Lechem Wałęsą. Co zrobiła władza? Przywiozła panią Thatcher na lotnisko w Gdańsku, gdzie obstała ją prywatna milicja zorganizowana przez księdza Jankowskiego, podobna do tej jaką miał zwykle papież, obywatelska ochrona. Pani Thatcher była na naszą odpowiedzialność przez cały dzień, po czym została odwieziona z powrotem na lotnisko. W międzyczasie rozmawiała z Wałęsą; ich tłumaczem był wtedy

Janusz Onyszkiewicz. Rozmowa odbyła się w bardzo wytwornie urządzonej sypialni księdza prałata, z obawy przed podsłuchami. Thatcher po spotkaniu powiedziała, i ja też to słyszałam: co za idiota zorganizował mi takie krótkie spotkanie z Wałęsą, przecież to najciekawsze, co ja miałam w tym kraju do zrobienia. Później Jankowski wydał wielki obiad, na którym też byłam obecna. Podawano wytworne, jak na warunki opozycyjnego środowiska potrawy. Królowały bażanty z piórami w ogonie, co musiało dziwić nawet panią premier.

A jak to było z wizytą François Mitteranda?

Potem przyjechał Mitterand i władze też nie chciały zgodzić się, żeby rozmawiał z Wałęsą. Mitterand wydał obiad dla opozycji w hotelu Hevelius, na terenie neutralnym. Był z żoną Danielle, bardzo miłą i otwartą. Podczas oficjalnego spotkania tłumaczyłam rozmowy Lecha. W pewnym momencie Mitterand powiedział do swojego tłumacza – widzę, że wszystko jest tłumaczone, tak jak trzeba, ma pan wolne. I odesłał go. Wtedy zostałam sama na placu boju i tu przeżyłam prawdziwy sukces.

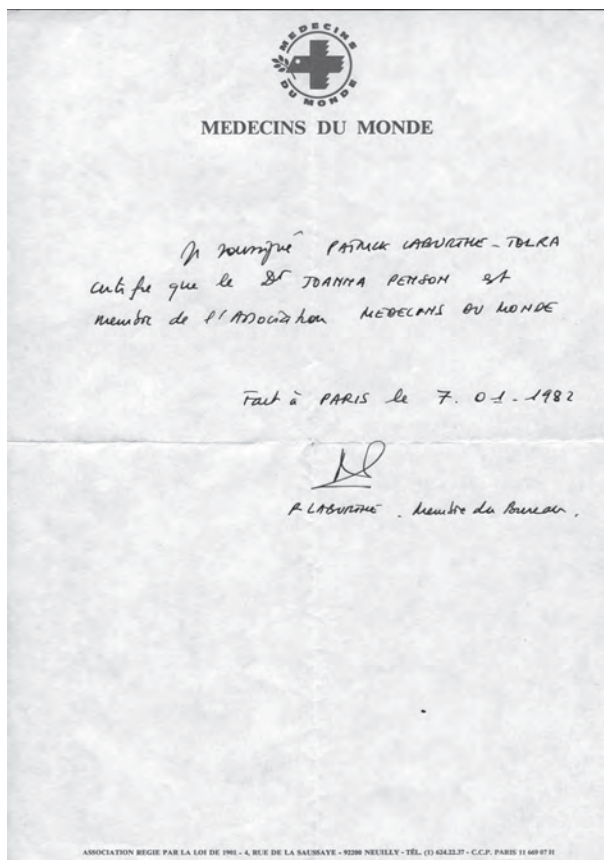
Thatcher i Mitterand to najważniejsi goście, ale byli też inni?

Był Jan Nowak-Jeziorański, Zbigniew Brzeziński, Czesław Miłosz, nie sposób wymienić wszystkich, którzy chcieli poznać Wałęsę. Byli przedstawiciele prasy, wydawcy, dokładnie z wydawnictwa Fayard, które wydało pamiętniki Lecha *Droga nadziei*. Z Lechem spotkał się Daniel Cohn-Bendit, przywódca kontrkultury, Joschka Fischer... Z tym ostatnim się nie widziałam, ale poznałam wielu francuskich lewaków, którzy przyjeżdżali do Gdańska.

Pani stosunki z francuskimi środowiskami intelektualnymi były szczególnie bliskie...

Z Francji przyjeżdżali do mnie przede wszystkim Lekarze bez Granic, *Medecins Sans Frontieres* i z nimi bardzo się zaprzyjaźniłam. Byli to bardzo dzielni chłopcy, którzy nieśli pomoc na wojnie i w Afryce,

i w Ameryce Południowej. Bardzo sprawni i doskonale wykształceni medycynie. W swoim czasie wyposażali mój szpital w Gdańsku. Pamiętam, że wszystkie pielęgniarki wtedy chorowały na żółtaczkę zakaźną z powodu braku jednorazowego sprzętu. Dostałam od nich dla całego oddziału szczepionkę przeciw żółtaczce zakaźnej, której w Polsce nie było! Lekarze bez Granic przywieźli mi mnóstwo innych leków, zabrali nawet dwóch chorych, z którymi nie mogliśmy sobie poradzić, do Francji.



Ryc. 43. Joanna Muszkowska-Penson
 w szeregach Médecins du Monde (1982 r.)

Początki tych dobrych kontaktów były jednak trudne. Pierwszy lekarz zjawił się dwa dni po ogłoszeniu stanu wojennego; przyплыł statkiem. Ktoś z przyjaciół dał mu mój adres i wkrótce zapukał do mojego gabinetu... Byłam przekonana, że przyszli nas zamknąć. Tymczasem ktoś w wojskowym kombinezonie mówi do mnie *Bonjour, Madame*. Zamarłam. Później ten lekarz wywiózł na Zachód listę polskich internowanych opozycjonistów. Pamiętam, kiedy zęgnął się i mówił – posłuchajcie tylko za trzy dni Radia Wolna Europa! I myśmy za trzy dni z bijącym sercem usłyszeli w radio: Panie generale, pan mówi, że w Polsce jest spokój, a gdzie są ci ludzie...? I tu pojawiła się cała lista internowanych...

Mieliśmy często bardzo zabawne przeżycia, bo ta konspiracja nie była już tak groźna, jak ta pierwsza – wojenna. Później dostałam inny prezent z Francji, zostałam przyjęta do organizacji *Médecins du Monde*.

Czy teraz we Francji ma Pani dużo przyjaciół?

Mam z Ravensbrück, bardzo dużo – prawdziwych przyjaciół na śmierć i życie.

Francuskie więźniarki?

Tak, ravenbrückanki. Naszą koleżanką i przyjaciółką była, niestety już nieżyjąca, Geneviève de Gaulle, siostrzenica de Gaulle’a, więziona w Ravensbrück. Złapano ją w czasie okupacji. Niemcy proponowali de Gaulle’owi, że oddadzą jego ulubioną siostrzenicę, jeżeli on zwolni jakiegoś niemieckiego generała wziętego do niewoli. De Gaulle bohatersko się nie zgodził i jego siostrzenica została w bunkrze, czyli w takim najostrzejszym więzieniu ravenbrückim. Była bardzo szlachetną osobą, prawdziwą bojowniczką. Po wojnie tworzyła we Francji z księdzem Józefem Wrzesińskim organizację „Czwarty świat”, walczącą z nędzą i ubóstwem.

Często kontaktowała się Pani z nią po wojnie?

Tak, mieszkalam nawet u niej, jak byłam w Paryżu. Dzięki jej wstawiennictwu dostałam paszport, którego mi odmawiano wielokrotnie w stanie wojennym. Dużo znajomych, Francuzek, mam z Ravensbrück.

Miałam. Teraz we Francji, tak jak w Polsce ... Nie można tak długo żyć, bo nikogo już później nie ma z przyjaciół.



Ryc. 44. Na plebanii św. Brygidy w Gdańsku, ok. 1990 r. Stoją od prawej: mec. J. Taylor, Ks. H. Jankowski, J. Muszkowska-Penson, J. Nowak-Jeziorański, NN

Jaką rolę odegrała w Pani życiu i w życiu strajkujących parafia św. Brygidy?

W życiu strajkujących odegrała ogromną rolę. To był właściwie jedyny wolny lokal, gdzie można było się spotykać i o wszystkim rozmawiać. Wszędzie były podsłuchy, ale z tym się liczyliśmy. Rzeczy ważne: nazwiska, adresy pisało się na kartkach; każdy miał ołówek i bloczek przy sobie. Lech, na przykład, ze wszystkimi spotykał się tylko w św. Brygidzie. Na Zaspie, przy Pilotów 17, gdzie mieszkał, wszędzie były podsłuchy. Wałęsowie, ze względu na dużą rodzinę, mieli dwa połączone mieszkania. Piętro wyżej i piętro niżej stacjonowało SB z całą aparaturą, a przed drzwiami stało zawsze dwóch ludzi, którzy kontrolowali, kto do niego

wchodzi. Dlatego w parafii św. Brygidy były umawiane wszystkie ważne spotkania. W wieży kościoła spotykały się władze „Solidarności”, przekonane, że tam nie ma podsłuchu. Nie wiem czy słusznie? Ksiądz Jankowski mógł przyjąć każdego, każdemu dać jeść, każdego mógł przenocować. Bywał też u Jankowskiego ksiądz Popiełuszko.

Z Lechem co niedzielę chodziłam do Brygidy. Siadaliśmy obok siebie koło ołtarza. W czasie mszy śpiewało się *Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie*. Jeździliśmy na jedenastą i spokojnie wysłuchiwalismy księdza Jankowskiego. Kazania pisał mu historyk-patriota; trwały czasem bardzo długo, bo on lubił mówić, ale niekiedy w patriotycznym ferworze zapominał napomknąć o Panu Bogu (*śmiech*). Dla niektórych ludzi było to dosyć szokujące, wszyscy jednak przyjmowali jego sposób działania. Był takim panem na włościach. A jego pewność siebie imponowała nawet esbekom, którzy poprzez to ograniczali nieco swoje działania. Trzeba przyznać, że ksiądz kanonik wiele dobrego zrobił dla „Solidarności”.

Nie uczestniczyłam we wszystkich spotkaniach, bo nigdy nie byłam politykiem i nie byłam biegłą w politycznej stronie sprawy. Zajmowałam się swoją robotą: medycyną, i tym, co było potrzebne. Na przykład dawałam Lechowi fałszywe zaświadczenia lekarskie, że nie może przyjść do stoczni, bo właśnie jechał na jakieś spotkanie z komisją krajową. Nawet teraz mu proponuję, jak nie chce mu się iść na jakąś kolację, ale teraz mi odmawia... (*śmiech*).

Ks. Jankowski miał charyzmę podobną do Wałęsy?

Charyzmę? Nie, on miał pewnego rodzaju dumę, ego i bogactwo materialne, które imponowały esbecji. Jeździł białym mercedesem z monogramami na drzwiczkach, miał wszystko złote w domu, był bardzo zamożny – to wbrew wszystkiemu, w chudych i szarych latach komunizmu, szalenie imponowało władzy i stanowiło dla niego samego pewną obronę i fasadę dla działalności.

Pamiętam, że ksiądz Jankowski swego czasu został wezwany na przesłuchanie do gdańskiego sądu. Umówiliśmy się, że ja pójdę z nim ze strzykawkami, bo chorował na ciężką cukrzycę. Jeśli będzie

działo się coś zagrażającego jego życiu, miał mnie wezwać. Interwencja okazała się niepotrzebna. Zadali mu parę pytań, pewnie żeby go postraszyć, aby nie wygłaszał historycznych kazań.

Po wyjściu z sali sądowej musieliśmy przejść przez szpaler milicji, która pilnowała, żeby ksiądz Jankowski nie zrobił jakiejś manifestacji wśród sędziów. Prałat stanął w połowie drogi i powiedział do tych milicjantów: „słuchajcie bracia, milicjanci, już najwyższy czas, żebyście założyli związek zawodowy »Solidarność«”! (*śmiech*)

To był właśnie Jankowski, cały on. Nie znał żadnego lęku. Poza tym czuł się „wyższy” od wszystkich, ważny, tak jakby jego nie dotyczyło liczenie się z sędzią, prokuratorem, milicją. Dobre samopoczucie też było czasem metodą walki.

Później nie liczył się nawet z hierarchią kościelną...

Nie, nie liczył się. W owych czasach to wszystko było wręcz niezwykłe. On robił swoje. Po prostu odprawiał msze, mówił kazanie, uważał, że trzeba powiedzieć, jaka tu niesprawiedliwość panuje, jak działa partia komunistyczna. Mówił to wszystko, co myślał.

Przyjaźniła się Pani z księdzem Jankowskim?

Tak, w późniejszym okresie. Kiedy mieszkałam w Glasgow i odwiedzałam Gdańsk, od ks. Jankowskiego, przyjeżdżała furgonetka średniej wielkości, cała wypchana wiktuałami. Wszystko to wyładowywali u mnie w domu i dopiero później przyjeżdżał sam kanonik białym mercedesem. Wśród dyskusji wszystko to spożywaliśmy. Jankowski to była indywidualność, to była wielka postać. Ale obraził się na wszystkich dlatego, że chciał zostać premierem, jak już była wolna Polska...

Nie został.

Kiedy już wyszły wojska sowieckie, Jankowski postanowił, że zostanie premierem rządu. Pocieszał, że on nie będzie długo, że tylko na jakiś czas, że zrobi tylko porządek i potem już niech wybierają kogoś

innego; on się zrzeknie. Nikt jednak nie poszedł na ten eksperyment i on się bardzo obraził. Prawdą jest też, że nigdy mu nie podziękowano za to wszystko, co zrobił, a myśmy jednak bardzo korzystali z jego pomocy. W początkach „Solidarności” nie było czasu na nic, nawet by zrobić jedzenie. To ksiądz Jankowski nas wszystkich karmił. Zresztą był bardzo dobrym kucharzem. Sam też gotował. Wszystko było bardzo dobrze przyrządzone. No i wszystkiego było dużo. Prowadził wygodne życie. Gdy kucharka gotowała obiad, to on przychodził i wtrącał się, że to nie tak, że to trzeba dosolić itd. Próbował wszystkiego, dosalał, dopieprzał. To był typ sam dla siebie, bardzo interesująca postać.

Zawsze mówił, że nie mógł się długo zdecydować, kim chce zostać, czy oficerem, bo bardzo lubił wojsko, czy księdzem. No i padło, że został księdzem.

Pamięta Pani jakieś rewizje, aresztowania z tamtych czasów?

Z esbecją miałam nawet jedną biblioteczną historię. Któregoś razu SB przyszło mnie aresztować do szpitala. Wzięli do samochodu i zawieźli do mojego domu, gdzie nikogo nie było. Zaczęli robić rewizję. Miałam pełno książek, tak zwanego drugiego obiegu, wydanych w oficynie Nova, wiele opozycyjnych ulotek różnego rodzaju. Funkcjonariusze zaczęli wybierać wszystkie te książki i znaleźli też płyty myśląc, że są to jakieś szyfry. A to były piosenki Edith Piaf, którą bardzo lubię. Wszystkie książki kładli na stos, który rósł i rósł. W końcu nie wytrzymałam i powiedziałam: kiedy widzę, jako bibliotekarska córka, jak bardzo wam przeszkadzają książki, to znaczy, że jest z wami bardzo źle. Strasznie się na mnie esbek oburzył (*śmiech*).

Oczywiście te wszystkie książki zabrali jako dowody; oskarżono mnie, że rozpowszechniam szkodliwe materiały i wzbudzam niepokoje społeczne.

Poza kilkoma okropnościami, np. zabójstwem księdza Popiełuszki, tego wszystkiego nie można porównywać ze zgrozą okupacji. Jednak masowo nie zabijano ludzi, najwyżej trzymali kogoś w więzieniu, dłużej lub krócej. Rzeczywiście, były tragedie, ale przeważnie nie było tak dramatycznie. Od takiego przywódcy jak Lech czy ksiądz Jankowski

to na pewno wymagało wielkiej odwagi, ale od nas, zwykłych zjadaczy chleba, nie. Nawet jak przyszła esbecja, nawet jak mnie zamknęli, to nie było porównywalne z czasem okupacji. Aczkolwiek trzeba przyznać, że ludziom młodym, opozycjonistom, mógł ten ustrój zniszczyć życie.



Ryc. 45. Z Lechem Wałęsą podczas pogrzebu Lecha Bądkowskiego (1984 r.)

Ale była Pani bardzo blisko tych ludzi i chroniła ich...

Starałam się, bo to było moim zadaniem. Lekarz zawsze musi starać się chronić życie i zdrowie ludzi. To należało do mnie. Kiedyś konsekwencje pomagania opozycjonistom dotarły do mnie, kiedy już mieszkalam w Glasgow. Jakiś gorliwy dziennikarz dopatrzył się, że na zaświadczeniu lekarskim wypisanym dla Lecha Kaczyńskiego widnieje moja pieczętka lekarska i podpis. Na świadectwie były opisane problemy z sercem Kaczyńskiego. Stawiało mnie to w dość kłopotliwej sytuacji, wobec politycznych dyskusji i pytań o stan zdrowia urzędującego wówczas Prezydenta. Zaczęły się telefony i pytania. Z opresji wybawił mnie prof. Religa, który publicznie powiedział w mediach, że wszyscy lekarze w stanie wojennym masowo wypisywali fałszywe zaświadczenia, bo to był ich moralny obowiązek. Sprawa wtedy przycichła.

Ja nigdy nie byłam szczególnie odważna. Odważna to była Danusia Wałęsowa, nie wyobrażam sobie innej kobiety tak odważnej jak ona. Miała w owych czasach pięcioro drobiazgów, pięcioro maleńkich dzieci, i walczyła, była bojownikiem „Solidarności”! Wyrzucała esbeków, wymyślała im, sama walczyła z milicją. Kiedyś zwróciła się do mnie i zażądała żebym poszła z nią do Stoczni, bo jest podejrzenie, że Lecha chcą otruć na strajku.

Jeśli wierzyć pułkownikowi Kuklińskiemu w latach osiemdziesiątych było o krok od kolejnego globalnego konfliktu. Nie obawiała się Pani powrotu tego, przez co przeżyła w młodości?

Nie byliśmy tego świadomi. Aczkolwiek niektóre działania Lecha można tłumaczyć tym, że on zdawał sobie sprawę z zagrożeń, był ich zupełnie świadomy. W tej potencjalnej wojnie Polska miała być całkowicie zniszczona. Ryszard Kukliński napisał o tym w raporcie. Podobno podczas szkolenia wojskowych w Moskwie pokazywano guzik, który po naciśnięciu wysadzał w powietrze, czy raził energią atomową, prawie całą Europę. Polska miała być właściwie pierwszym miejscem przeznaczonym do zniszczenia. Nie miałam świadomości wybuchu następnej wojny; wydało mi się to niemożliwe. Było chyba za blisko tamtej wojny, żeby ktoś tego chciał. Przecież straty II wojny światowej były czymś okropnym pod każdym względem. Jakoś nie miałam świadomości, że może ponownie wybuchnąć wojna.

Zastanawiające jest to, dlaczego pewna część społeczeństwa czuje się oszukana przez elity. Zwykle codzienne życie stało się pod wieloma względami łatwiejsze, a mimo to część społeczeństwa czuje się wykluczona.

Trzeba na początku powiedzieć, że nie istnieje dobry ustrój polityczny. Niewątpliwie rozzaczarowaliśmy się kapitalizmem. Powstały niesprawiedliwości, różnice w poziomie życia. Przecież stoczniowczy gdańscy, którzy doprowadzili do wolnej Polski i do upadku komunizmu, w tej chwili są właściwie bezrobotni, nie mają swojego zakładu pracy.



Ryc. 46. Lech Wałęsa podczas wiecu w Gdańsku (sierpień 1980 r.)

Czy to znaczy, że jest Pani rozczarowana obecną Polską?

Ja osobiście nie, ale rozumiem ludzi, którym to się specjalnie nie podoba i nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Kiedyś przeciwnicy kapitalizmu głosowali za socjalizmem, tak jak mój Żeromski, w dawnych czasach. Ale teraz wiadomo, że socjalizm to słowo, które straciło w Polsce swoje właściwe znaczenie. Kapitalizm też się nie sprawdza, a nic innego nie ma na rynku, żadnej alternatywy. Trzecia droga, Tony'go Blaira, się nie udała, nie wyszła.

Chciałabym, żeby pojawiła się epoka wielkich ludzi, którzy wszystko przemyślą i pchną kraj na tory uwzględniające nowoczesność, nowe formy porozumiewania się.

Są potrzebne autorytety, a może jeszcze bardziej są potrzebni wizjonerzy?

Wizjonerzy, tak.

W tej chwili polityka na całym świecie zupełnie od tego odeszła, miarą polityka jest to, czy sprawnie zarządza. Czy sprawdza się w tej roli. Polityka straciła coś immanentnego, co miała w sobie od starożytności. Politycy wymyślali świat, a obecnie próbują go tylko uporządkować przy pomocy prawników.

Kiedyś filozofowie urządzali świat.

Filozofowie, którzy byli też politykami, jak na przykład Marek Aureliusz.

Zgadza się, ale proszę łaskawie zanotować, że pytania w dniu dzisiejszym przekroczyły zasoby umysłowe pytanej. Czy w taki sposób możemy podsumować naszą dyskusję? (*śmiech*)

CZĘŚĆ XII

Starość

Nie mam żadnych pretensji, że to życie było takie, a nie inne.

(Rozmowa odbyła się 3 lipca 2011 i 1 maja 2012 r. w mieszkaniu Joanny Muszkowskiej-Penson w Sopocie)

Czym jest starość?

Ktoś powiedział, że starość to jak ceka śmierci. To określenie wydaje mi się słuszne, ale z jednym zastrzeżeniem: ważne, co do tej celi zabrało się ze sobą. Co do mnie, to mam w niej moc wspaniałych wspomnień i wiele przeczytanej wielkiej i pięknej literatury. Tych wspomnień, z biegiem lat, ciągle przybywa, zdarzają się też ciężkie i trudne, i co gorsza, czasem rozpychają się wyrzuty sumienia, aby zająć całą scenę.



Ryc. 47. Gdynia Orłowo, maj 2012 r. (z Jackiem Ladoruckim)
Fot. Z. Gruszka

Co się udało Pani w życiu wygrać, a co przegrać?

Bardzo trudne pytanie. Mogę tylko stwierdzić, że nie mam żadnych pretensji, że to życie było takie, a nie inne. Moje życie było dość trudne. Ale uważam, że z tego wszystkiego, co musiałam przeżyć,

na przykład z powodu wojny, po wszystkim, mam jakieś zadowolenie, że to przeżyłam. Nie mam żadnych pretensji do losu. Tym bardziej, że miałam to szczęście, że uratowała się cała moja rodzina, więc nie byłam w sytuacji wielu ludzi, którzy nie mieli do kogo wracać. Potem spełniło się moje marzenie, zostałam lekarzem. Marzenie, które jeszcze było spotęgowane pobytem w obozie, bo tam się przekonałam dokładnie, iż medycyna jest jedynym zawodem, który się przydaje w każdych okolicznościach. Pomimo strasznych warunków obozowych, braku jakichkolwiek leków i możliwości działania, nasi lekarze-więźniowie dokonywali cudów, opiekując się potrzebującymi.

Przykładem lekarza-więźnia była doktor Cecylia Chojnowska.

To była fenomenalna dziewczyna, trafiła do obozu od razu po skończeniu studiów. Mnie, niewątpliwie, uratowała życie. Zresztą do tego, żebym wyszła z tyfusu plamistego, przyczyniło się bardzo dużo osób. W obozie uwierzyłam, i wierzę do dziś, w prawdziwą przyjaźń. Jest to właściwie najważniejsze ludzkie uczucie, bo jedyne absolutnie bezinteresowne.

Potem w życiu, już na wolności, spotkały mnie różne ciężkie próby. Miałam ciężkie przejścia, także z własnej winy. Obóz koncentracyjny sprawił, że nie było się przygotowanym do życia na wolności. Wyszliśmy z Ravensbrück w jakimś sensie nieprzystosowane, byliśmy zdolne do poświęceń w obozie, poświęceń dla przyjaciół. Później po wyjściu z obozu ja nie byłam już zdolna do takich poświęceń. Bo wtedy zabrała to bardzo silna chęć życia, chęć odrobienia tych lat siedzenia w kazamatach.

Dla kobiety jednak najważniejsze jest przeżyć macierzyństwo i to jest wielka rzecz, której mogłam doświadczyć. W jakimś stopniu przeżyłam jednak po wojnie życie, z którego byłam wyłączona na te wszystkie lata wojny, zawodowo, no i osobiście. Ale po różnych perypetiach świadczących o tym, że właściwie nie byłam w pełni przygotowana do tego, żeby działać w życiu na wolności, w sposób jednoznaczny czy odpowiedzialny, jak działałam w czasie wojny, przeszłam do zupełnie innej sytuacji, innych warunków. Nie umiałam sobie przez dłuższy czas z tym poradzić i to były właśnie te – jak Pan powiedział – „przebrane”...



Ryc. 48. Joanna Muszkowska z córką Anną (późne lata 50.)

„Przegrane” czy raczej pewnego rodzaju niemoc...

Przyszło do decyzji życiowych, które były trudne i do których człowiek nie jest przygotowany i wybiera scenariusz egoistyczny, którego może nie powinien, na pewno nie powinien wybierać.

Tak się zdarzyło w Pani życiu?

Tak.

Bez czego nie wyobraża Pani sobie swojego życia?

Mam o tym mówić przy włączonym dyktafonie? A Pan jeszcze weźmie i to gdzieś napisze? (*śmiech*) To jest pytanie bardzo osobiste. Wydaje mi się, że życie byłoby absolutnie nieznośne bez miłości. Ale miłości rozumianej nie wyłącznie jako miłość damsko-męska, choć ta jest ważna, ale jako miłość do ideałów, które się wyznaje, do wartości. Miłość jako przyjaźń, miłość do ojczyzny, patriotyzm. Miłość jest uczuciem najważniejszym, ponieważ pozwala niejednokrotnie człowiekowi oderwać się od egoizmu, od własnego krótkowzrocznego spojrzenia na rzeczywistość. Nieraz poświęca się wszystko dla prawdziwej miłości i to jest chyba najważniejsze. Wtedy miłość wyznacza cel w życiu, wyznacza właśnie to zapomnienie o sobie, które jest bardzo ważne, bo człowiek ma tendencje egocentryczne, które niejako zamykają go w sobie samym.



Ryc. 49. J. Muszkowska (lata 50.)

A jak nie dać się oszukać ideom?

Trzeba dobrze wybierać. Widzimy teraz, jak ludzie na przykład szafują ideami w partiach politycznych. Przenoszą się z łatwością z jednej do drugiej, czyli zamieniają jeden światopogląd na jakiś inny, na inne ideały. Czasem zostawiają w nas przekonanie, że chodzi im tylko o intratną posadę. Wierności idei, zaangażowania, odpowiedzialności, tego właśnie uczył mnie ojciec...



Ryc. 50. Joanna Muszkowska-Penson otwiera konferencję naukową „Jan Muszkowski: ludzie, epoka, książki. Polska bibliologia uniwersytecka w 60 lat od śmierci Profesora”. Łódź, 13–14 maja 2013 r.

Czy ma Pani Profesor poczucie spełnienia misji?

Wie Pan, nie. Ja jestem szarym człowiekiem. To są za duże słowa dla mnie. Może w życiu chciałam być dobrym lekarzem, który pomaga ludziom, ale okazało się, że to nie jest wcale takie łatwe, bo medycyna jest bardzo trudną sztuką. W medycynie odnosi się czasem jakies

sukcesy, ale ponieważ człowiek jest śmiertelny, to bardzo często ponosi się klęski. Ja właściwie przez wiele lat życia zajmowałam się tylko medycyną. Starałam się w możliwy dla mnie sposób zadziałać dobrze, jako lekarz. Moim szczęściem było to, że miałam męża, który był znakomitym lekarzem i który mnie właściwie wszystkiego w tej dziedzinie nauczył. Później uczyliśmy się razem z książek, ażeby nasza medycyna była możliwie nowoczesna, dawała efekty wszędzie tam, gdzie wówczas było to możliwe. Obecnie medycyna bardzo się zmieniła i opiera się na wynikach badań skomplikowanych urządzeń, maszyn. Za naszych czasów tak nie było. Interna o wiele częściej polegała na analizowaniu, na badaniu zewnętrznym, dokładnym robieniu wywiadu z chorym, a potem na rozumowaniu logicznym, ażeby dojść do rozpoznania. Więc byłam całkowicie pochłonięta medycyną, którą uprawiałam w sumie jakieś czterdzieści parę lat i to było moje główne zajęcie po wojnie.

Ja już mówiłam, że moje życie składa się z oddzielnych części nie mających ze sobą właściwie wielkiego związku.

Zawód lekarza to misja

Powinien być, oczywiście. Pod tym względem sytuacja lekarzy w poprzednim ustroju była o tyle łatwiejsza, że pieniądze nie wchodziły w grę. Nie było pieniędzy i niektórym fachom, tak jak medycynie, to pomagało.

Lekarz musi starać się być jak najlepszym, bo nosi odpowiedzialność za życie ludzkie. To jest strasznie obciążająca odpowiedzialność. Świadomość, że ktoś zginął, bo się czegoś nie zrobiło, o czymś nie pomyślało, jest rzeczą strasznie ciężką. Im byłam starsza, tym bardziej nie mogłam tego znieść. Jak poszłam na emeryturę poczułam ulgę. Było mi za ciężko znosić odpowiedzialność za życie ludzkie.

A czy pomoc działaczom „Solidarności” to też wypełnianie misji lekarskiej?

To był, w pewnym sensie, dalszy ciąg mojej działalności okupacyjnej. Gdy w Gdańsku rozpoczął się strajk w 1981 r., przysłała do mnie koleżanka, neurolożka, która z nami pracowała i powiedziała, że stanęły

dźwigi w Gdańsku. Bardzo szybko zrozumieliśmy, że stajemy po raz drugi do walki. Ludzie mojego pokolenia, mojej epoki, którzy przeżyli okupację, wszyscy tak działali. Ja zaczęłam przeżywać drugą w życiu konspirację. Nawet byłam lepsza od innych, bo już znałam to i wiedziałam jak można wpaść...



Ryc. 51. Przepustka Pogotowia Strajkowego do Stoczni Gdańskiej (1981 r.)

Co lubi Pani wspominać?

To zależy z kim (śmiech).

A tak dla samej siebie...?

Dla samej siebie, prawdę powiedziawszy, walczę ze wspomnieniami. Dlatego, że te wspomnienia są związane z nieżyjącymi ludźmi, których kochałam. Walczę z nimi, żeby nie rozpamiętywać tego. Poza tym, wcześniej nadmieniałam, jak pewnie każdy, mam różne czarne momenty w życiorysie, którymi nie chciałabym się dzielić z nikim. Życie trudno przejść z pełnym takim... Mnie się nie udało zupełnie

w szlachetny sposób, zawsze jakieś ciemniejsze plamy zostają tu i ówdzie. Może Panu się uda, życzę tego bardzo. Staram się nie wspominać za dużo przeszłości, szczególnie jak jestem sama. Chyba że jestem z kimś, kto ze mną tę przeszłość dzielił, ale to się, niestety, zdarza coraz rzadziej. Staram się być przydatna i chciałabym być przydatna do końca życia. Moim marzeniem i życzeniem jest być do końca przydatną. Na przykład teraz, pracując u Lecha, wiem, a on mi to powtarza codziennie ku mojemu zadowoleniu, że jestem przydatna. Że jestem potrzebna, żeby robić to, co robię. I to jest właśnie cała przyjemność z życia! To mi pozwala żyć.

Mieć w życiu wielu przyjaciół... Czemu się to zawdzięcza?

Przez całe życie miałam bardzo wielu przyjaciół, którzy niewątpliwie byli podporą w sensie psychicznym i moralnym. Im zawdzięczam między innymi możliwość przetrwania obozu. Moja matka obozowa, Siasia Łuniewska, kiedy chorowałam w obozie poświęcała się, by codziennie przynieść mi ciepłą zupę. To się wydaje bardzo proste. Lecz żeby to zrobić, musiała wykonać cały szereg niezwykle kombinacji. Musiała od kogoś, kto pracował na zewnątrz obozu dostać jakąś marchewkę, później trzeba było rozpaść piecyk, żeby ugotować tę zupę, a rozpalanie ognia było surowo zabronione. Jedyne piecyk znajdował się na środku izby. Palono w nim brykietami. Parę osób musiało stać na zewnątrz i patrzeć, by nikt nie zobaczył, że leci dym. Później trzeba było tę zupę przynieść dla mnie, ale ja leżałam na bloku tyfusu plamistego. Niemcy się bardzo bali tyfusu i blok z chorymi był otoczony drutem kolczastym. Nie wolno było oczywiście nikomu wchodzić, więc ona musiała te wszystkie przeszkody pokonać, żeby dotrzeć do mnie i przynieść mi tę zupę codziennie. Było to równoznaczne z bohaterstwem, ale ona wierzyła, że jak mi nie przyniesie, to ja umrę z głodu, więc uważała to za swój obowiązek. Siasia rzeczywiście uratowała mi życie. Potem uratowała mnie dr Chojnowska, w czasie selekcji na śmierć.

Byłam przez całe życie otoczona przyjaciółmi. Nie wiem, czemu to zawdzięczam. Ale jest to fakt i właśnie dlatego uważam przyjaźń za uczucie ludzkie najwyższej próby.

Podobno lubi Pani poezję Szymborskiej. Który z wierszy najbardziej?

Tak, to jest wiersz o *Starym profesorze*. Ale czy ja go znajdę, zaraz, chyba w *Dwukropku*, tak w *Dwukropku* musi być. Wiersze Szymborskiej w ogóle są cudowne, zaraz Panu poszukam. Jest, szesnasta strona! *Stary profesor*, Pan posłucha (*Odczytuje wiersz w całości*).

Nie jest piękny? I jaki mądry, to tylko ja mogę to docenić, bo Pan jest za młody (*śmiech*).



Ryc. 52. W mieszkaniu w Sopocie (maj 2012 r.). Fot. Z. Gruszka

To prawda, choć starość jest pojęciem płynnym, dawniej 40-latków uważano za starców. Obecnie wiadomo, że ktoś, kto ma dwa razy więcej lat może cieszyć się życiem.

Ale ja jestem autentycznym starcem, bo 92 lata to już jest prawdziwa starość. Uważam jednak, że to interesujący okres życia.

Starość może być różna, może być smutna, wypełniona cierpieniem. Lecz można być starym, ale mieć jednocześnie młode serce. Jaka jest Pani starość?

Po prostu nie mogę się skarżyć. Bo, oczywiście, jest starość chora, bardzo często cierpiąca, ta powłoka jednak rozkłada się, psuje się wszystko po kolei. Tu się nie widzi, tu się nie słyszy, tutaj serce, głowa, nie daj Boże Alzheimer... Niech Pan weźmie pod uwagę, że w moim wieku co druga osoba ma Alzheimera. To łaska boża, że człowiek jeszcze, jako tako, funkcjonuje. Nie mogę mówić za staruszków, mogę powiedzieć za siebie, że nie mam prawa się skarżyć.

A ma Pani poczucie, że Pani życie wymyka się wszelkim regułom?

Nie, no po prostu jestem długowieczna, prawdopodobnie na skutek ciężkiej głodówki w obozie. Głodzili mnie, a wiemy, że szczury głodzone żyją dwa razy dłużej od nadmiernie karmionych. Ja jestem taki głodzony szczur...

Ale ostatecznie Pani starość jest pogodna...

... jest przyczyną zdziwień. To odczucie jest pierwsze gdy budzę się rano.

Czy pojawia się niepokój w tej starości?

Niepokój śmierci? Podejrzewam, że wiem, jak to będzie, jak już się będzie umierało, widziałam w życiu wielu umierających ludzi. Na razie myślę, że to jest raczej jakaś biologiczna konieczność i jest to lepsze niż, powiedzmy, utrata władzy nad sobą Także na razie, żadnych takich strachów, niepokojów nie odczuwam. Nie wiem na pewno, jaki będzie ten ostateczny moment. Chociaż muszę powiedzieć, że z lekarskiego punktu widzenia wynika, że człowiek jest biologicznie przystosowany do odejścia. Funkcje życiowe w jakiś sposób zanikają...

Pani Profesor, dziękuję z tę niezwykłą rozmowę. Wiele mówiliśmy ostatnio o starości, ale prawdę mówiąc, niewiele widać jej w Pani...

Ja również bardzo dziękuję. Widzi Pan, ale to wszystko jest już „pożyczzone” i może pęknąć w każdej chwili...

Koniec

Przypisy (Endnotes)

- ¹ Chodzi o artykuł: *Niedoczynność tarczycy pochodzenia przysadkowego* opublikowany w „Przeglądzie Lekarskim” 1951, nr 5, s. 242–245. Współautorem był Jakub Penson.
- ² „(...) 17 lutego 1945 r. na wspólnej konferencji, w której uczestniczył przedstawiciel ministerstwa oświaty, powołano Komitet Organizacyjny Wyższych Uczelni Państwowych w Łodzi, z przewodniczącym Teodorem Viewegerem i członkami Bolesławem Wilanowskim i dr. Julianem Żukowskim. Ostatecznie na początku marca 1945 r. prof. T. Vieweger uzyskał w Ministerstwie Oświaty w Warszawie nominację na przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Uczelni Państwowej w Łodzi, a członkami tegoż komitetu zostali prof. B. Wilanowski, wspomniany już dr J. Żukowski, prorektor przedwojennej Wszechnicy – fizyk prof. Marian Grotowski oraz prof. Jan Muszkowski, były wykładowca Wszechnicy. Nominacje te zostały wręczone przez T. Viewegera na specjalnej konferencji 5 marca 1945 r., na której prof. B. Wilanowski zrzekł się uprawnień organizatora szkolnictwa wyższego w Łodzi, posiadanych jakoby na podstawie wspomnianego wyżej „zamazanego” dokumentu z podpisem ministra S. Skrzyszewskiego, prezentowanego jeszcze w styczniu w Kuratorium. Obok działań Komitetu Organizacyjnego także ówczesne władze administracyjne Łodzi z prezydentem Kazimierzem Mijalem 21 marca 1945 r. wystosowały do Ministerstwa Oświaty list z apelem o powołanie w naszym mieście uniwersytetu i politechniki”. Cytat za: W. Puś, *Zarys historii Uniwersytetu Łódzkiego 1945–2015*, Łódź 2015, s. 13.
- ³ Teodor Vieweger (1888–1945) – polski biolog, studiował medycynę w uniwersytecie w Liege oraz zoologię w uniwersytecie w Brukseli, gdzie w 1912 r. otrzymał tytuł doktora nauk przyrodniczych. Od 1920 r. profesor nadzwyczajny Wolnej Wszechnicy Polskiej (WWP) w Warszawie, a od 1925 roku do wybuchu II wojny światowej jej rektor. W latach 1942–1945 wykładowca na Tajnym Uniwersytecie Warszawskim oraz na Kursach Akademickich w Częstochowie.

W pamięci potomnych zapisał się jako wybitny organizator – dzięki jego staraniom WWP została ustawą sejmową zaliczona do uczelni akademickich, a jej oddział uruchomiono także w 1928 roku w Łodzi. Po wojnie brał czynny udział w organizowaniu Uniwersytetu Łódzkiego. Zginął śmiercią tragiczną 22 maja 1945 roku. Źródło: *Biogramy uczonych polskich: materiały o życiu i działalności członków AU w Krakowie, TNW, PAU, PAN. Cz. 2, Nauki biologiczne*, oprac. A. Śródka, P. Szczawiński, Wrocław 1985; *Szkoły Wyższe Rzeczypospolitej Polskiej*, Wyd. 2, Warszawa 1930, s. 302.

- ⁴ Borys Łapicki (1889–1974) – polski prawnik, znawca prawa rzymskiego, uczeń Leona Petrażyckiego na Uniwersytecie Warszawskim. Wykładowca Wolnej Wszechnicy Polskiej, po wojnie na nowo powstałym Uniwersytecie Łódzkim. Źródło: *Szkoły Wyższe...*, s. 312.
- ⁵ „W dniu 3 marca 1945 r. po południu w szalejącej zademce śnieżnej wysiadłem na ulicy Piotrkowskiej z ciężarówki Czytelnika, która przywiozła mnie z Warszawy, dokąd dotarłem z Ojrzanowa (pow. Błonie), przemierzyszy piechotą ok. 30 kilometrów. Przybyłem w poszukiwaniu rektora Wolnej Wszechnicy Polskiej, prof. dra Teodora Viewegera, w myśl komunikatów wzywających wszystkich do zgłaszania się w przedwojennych warsztatach pracy. Portier Grand Hotelu odpowiedział, że rektor, owszem, mieszka, ale wyjechał do Warszawy; na drugie z kolei nieśmiałe pytanie oświadczył jednak kategorycznie, że o znalezieniu w hotelu pokoju mowy być nie może. Wobec tego znalazłem się znowu na ulicy ze swoim plecakiem, zasypany gęstym śniegiem i miotany ostrym wiatrem przedwiośnia. Szedłem przed siebie Piotrkowską nie wiedząc dokąd się obrócić, gdy młody człowiek, którego nie poznałem w pierwszej chwili, a którym był Henryk Szletyński (obecny dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie), przywitał mnie serdecznie i wskazał mi tak zwany wówczas Dom Pisarza Polskiego, siedzibę Związku Literatów Polskich przy ul. Bandurskiego pod numerem ósmym. Tam też znalazłem istotnie przytułek dzięki gościnności dawnych znajomych: pp. Zofii Nałkowskiej i Wacława Husarskiego”. Cyt. za: J. Muszkowski, *Komitet Organizacyjny Uczelni Państwowej w Łodzi (marzec–czerwiec 1945 roku)*, [w:] *Materiały do dziejów Uniwersytetu*

Łódzkiego (1945–1950), red. B. Baranowski, K. Duda-Dziewierz, Łódź 1952, s. 49–50.

- ⁶ Po 3 latach Jan Muszkowski pisał do Henryka Szletyńskiego, dziękując za pomoc ofiarowaną podczas przyjazdu do Łodzi: „Przy tej sposobności przypominam sobie szczegół, zapomniany już zapewne przez Pana, że pewnego dnia marcowego 1945 roku podszedł pan do wędrowca z plecakiem na ramionach, stojącego bezradnie przed Grand Hotelem w Łodzi, obłoconego i osypanego śniegiem, i wskazał mu Pan Dom Pisarza Polskiego, gdzie przyjęła mnie bardzo gościnnie p. Zofia Nałkowska, udzielając mi przytulku na pierwsze dni. Tak więc Panu właśnie zawdzięczam nawiązanie łączności pomiędzy starym a nowym życiem”. Źródło: Dokumenty osobiste Jana Muszkowskiego. Kopia listu z dn. 3.11.1948. K. nlb. [Archiwum J. Muszkowskiej-Penson].
- ⁷ Wojskowy Instytut Geograficzny (WIG), instytucja podlegająca organizacyjnie szefowi Sztabu Głównego Wojska Polskiego, utworzona w 1919 r. w Warszawie w celu opracowywania i wydawania wojskowych map topograficznych. Opracowywane w WIG od 1931 roku wielobarwne mapy taktyczne zaliczane były do najlepszych na świecie wojskowych map topograficznych. Od 1927 r. wydawano kwartalnik „Wiadomości Służby Geograficznej”. We wrześniu 1939 r. WIG ewakuowano, najpierw do Francji, a następnie do Edynburga w Wielkiej Brytanii. Źródło: Hasło „Wojskowy Instytut Geograficzny”, [w:] *Wielka Encyklopedia PWN*, t. 29. Warszawa 2005, s. 541.
- ⁸ Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) – Siły Zbrojne w Kraju podczas II wojny światowej, w okresie od 13 listopada 1939 r. do 14 lutego 1942 r. ZWZ, wraz ze Służbą Zwycięstwu Polski (SZP) i Batalionami Chłopskimi, dał początek strukturom Armii Krajowej. ZWZ powstało jako konsekwencja raportu gen. Michała T. Karaszewicza-Tokarzewskiego, przekazanego gen. Władysławowi Sikorskiemu, w którym informowano o powstaniu Służby Zwycięstwu Polski. Sikorski na skutek skomplikowanych relacji politycznych i obaw o utratę kontroli rozwiązał SZP, a w jej miejsce powołał ZWZ. W czerwcu 1940 roku Wódz Naczelny i Premier Rządu RP na uchodźstwie gen. W. Sikorski, mianował płk. Stefana Roweckiego Zastępcą Komendanta Głównego ZWZ. Zob. S. Korboński, *Polskie państwo podziemne. Przewodnik*

po Podziemiu z lat 1939–1945, Bydgoszcz 1990, s. 29; N. Davies, *Boże igrzysko*, Kraków 2010, s. 925–926.

- ⁹ Krzysztof Muszkowski (Blauth-Muszkowski Peter Christopher) (18 września 1919 Warszawa – 4 lipca 2012 Londyn) pisarz, dziennikarz, publicysta emigracyjny, propagator polskiej kultury, działacz społeczny. Muszkowski w roku 1937 ukończył Gimnazjum Państwowe im. Adama Mickiewicza w Warszawie (upamiętnił je później w opowiadaniu *Chłopcy od Mickiewicza*) a następnie udał się na studia do Belgii (Antwerpia) i Francji (Grenoble), skąd powrócił w sierpniu 1939 roku, by po wybuchu II wojny światowej uczestniczyć w kampanii wrześniowej. 4 września opuścił Warszawę i udał się do Lwowa, uczestnicząc w obronie miasta. Po zakończeniu kampanii przedostał się do Wilna, gdzie działał w Związku Walki Zbrojnej. W maju 1941 został aresztowany przez NKWD i osadzony w wileńskim więzieniu na Łukiszkach. Następnie wywieziony w głąb Rosji i osadzony w łagrze, skąd, zwolniony na mocy amnestii, przedostał się spod Nowosybirsk do wsi Tockoje nad Samarą do 6. Dywizji Armii Polskiej generała Andersa (17. Pułk Lwowski). Wraz z wojskami Andersa wy dostał się z Rosji, by po długiej wędrówce (Egipt, Brazylia) dopłynąć do Glasgow (przełom 1942/43). Po przeszkoleniu wojskowym został przydzielony do 300 Dywizjonu Bombowego „Ziemi Mazowieckiej”, w którym służył jako nawigator w lotach bojowych Lancasterów. Jego zasługi wojenne zostały wyróżnione Krzyżem Walecznych, Krzyżem Kampanii Wrześniowej 1939, Medalem Lotniczym, Medalem Wojska, Krzyżem Pamiątkowym 5. Kresowej Dywizji Piechoty, Krzyżem za Wojnę 1939, 1939–45 Star, War Medal, Defence Medal, Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Po wojnie, jako początkujący autor, podjął współpracę z kilkoma periodykami emigracyjnymi, m.in. z „Dziennikiem Polskim”, „Tygodnikiem Polskim”, „Nowym Czasem” oraz „Wiadomościami”. W tym ostatnim, zyskując przychylność Mieczysława Grydzewskiego, został także sekretarzem redakcji (1946–1951). Przez kilkadziesiąt lat jako korespondent i publicysta współpracował z polskojęzycznymi pismami i stacjami radiowymi w świecie, m.in.: „Orzeł Biały” (Londyn),

„Voice of America” (Monachium), „Polska Sekcja BBC”, „Nowa Polska” (Londyn), „Ostatnie Wiadomości” (Mannheim), „Tygodnik Polski” (Melbourne), „Tydzień Polski” (Londyn), „Kultura” (Paryż). W jego opowiadaniach i felietonach, oprócz odpowiedzialności za słowo, elegancji i powściągliwości, widać troskę o kulturę narodową, biblioteki, muzea, archiwa i kolekcje prywatne.

Muszkowski osiągał liczne sukcesy w pracy zawodowej w londyńskim City (od 1952 r.) jako specjalista w American Foreign Insurance Association (ubezpieczenia) oraz dyrektor Lloyd of London (firma brokerska). Praca ta pozwalała mu na liczne podróże, nawiązywanie kontaktów i poszerzanie optyki na sprawy polskie i międzynarodowe.

W 1948 r. poślubił Izabellę Blauth, artystkę plastyczkę (jej rzeźby znajdują się m.in. w kościele Polskiej Wspólnoty na Ealingu, w kościele św. Augustyna oraz w Szkole im. Cecylii Plater-Zyberkówny w Warszawie, w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach). Wspólnie mieli dwóch synów: Christophera i Johna; przyjął także jej nazwisko.

Był członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (ZPPnO), członkiem Związku Dziennikarzy RP na Obczyźnie oraz członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich z siedzibą w Warszawie. Współpracował z Archiwum Emigracji w Toruniu jako członek Kolegium doradczego. W 2009 r. otrzymał nagrodę Nagrodą Literacką ZPPnO za całokształt twórczości. Jego szkice, opowiadania i recenzje skłaniały do refleksji nad istotą demokracji i kultury oraz kondycją współczesnego człowieka i Europejczyka.

Źródła: K. Muszkowski, *Inter Alia*, Londyn, 1990; Idem, *Czas wielkich zmian – rozmowy z Edwardem Raczyńskim*, Paryż 1990; Idem, *Intra Muros*, Kraków, 1993; Idem, *Notatki londyńskie (1993–1997)*, 1997; Idem, *Parasol angielski*, Lublin, 2002; *Spod angielskiego parasola*, Toruń, 2006; Idem, *Kroniki londyńskie*, Toruń, 2009; Idem, *Most (1919–2012)*, Kraków 2015; Historia rodziny Rudowskich, <http://www.rudowscy.sad1.pl/index.php/biografie/52-kszysztof-muszkowski>, (dostęp 01.02.2016); Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, <http://www.zppno.org/pozegnania/> (dostęp 01.02.2016); J. Ladorucki, *Krzysztof Muszkowski*, [w:] *Słownik Pracowników Książki Polskiej. Suplement IV*, red. M. Rządkiwska, Warszawa 2016, s. 173.

- ¹⁰ Stały zespół pracowników Biblioteki Ordynacji Krasińskich tworzyło pięć osób: Jan Muszkowski (dyrektor, bibliotekarz), Michalina Konarska, Aleksandra Stokowska (pomocnice bibliotekarzy), Wiktor Ziajowski i Michał Grędzik (woźni). Przez pewien czas z Biblioteką byli związani: Zofia Mostowska (prawdopodobnie pracownik administracyjny), Maria Leszczyńska (urzędniczka), Stanisław Wojciechowski (intrologator), Zygmunt Szweykowski (przyszły literaturoznawca). W 1923 r., zapewne po odejściu Szweykowskiego, w Bibliotece Ordynacji zatrudniono Jadwigę Dąbrowską, współpracującą z Muszkowskim także przy redakcji „Przewodnika Księgarskiego” i *Bibliografii polskiej 1901–1925*. Dąbrowska przez blisko rok zastępowała Muszkowskiego na stanowisku dyrektora podczas jego pobytu w Bibliotece Polskiej w Paryżu na przełomie 1926 i 1927 r. Por. H. Tchórzewska-Kabata, *Pod znakiem światła. Biblioteka Ordynacji Krasińskich 1844–1944*, Warszawa 2010, s. 115–116.
- ¹¹ *Bibliografia polska 1901–1925* – kontynuacja pod względem chronologicznym opracowań bibliograficznych rodziny Estreicherów, dokumentujących dorobek piśmienniczy Polski od XV w. Prace nad *Bibliografią polską 1901–1925* zainicjował Jan Muszkowski w 1918/19 r. W 1925 r., po wielu żmudnych pracach kartoteka bibliografii liczyła 50 tys. pozycji. W tymże roku powołany został komitet redakcyjny, w którego skład weszli: Stefan Demby, Gabriel Korbut oraz Jan Muszkowski. Dziesięć lat później, w 1935 r., kartoteka liczyła już 125 tys. pozycji, a nad bibliografią pracowało osób. Prace zostały doprowadzone do litery R, jednak – wskutek zastosowania układu krzyżowego bibliografii – wcześniejszy druk, przed ukończeniem całości, nie był możliwy. Muszkowski pracował nad publikacją do zimy 1943 r. Przed wyjazdem z Warszawy kartotekę rozlokował w trzech różnych miejscach. Uległa ona zniszczeniu w 1944 r. Zob. *Szkic o historii i metodzie Bibliografii polskiej 1901–1939*, [w:] *Bibliografia polska 1901–1939. T. 1, A-Bars*. Wrocław 1986, s. X–XVI.
- ¹² Cytat za: B. Skarga, *Inteligencja zamilkła*, „Gazeta Wyborcza” 2006, nr 12, s. 10–11.
- ¹³ X Gimnazjum i Liceum im. Królowej Jadwigi jest jednym z najstarszych liceów w Polsce, o historii sięgającej 1874 r. Było pensją prywatną

p. Sikorskiej, którą w 1918 r. ofiarowała Państwu Polskiemu. Na zjazdy absolwentek, jeszcze za czasów Joanny Muszkowskiej-Penson, przychodziła siostra Marii Skłodowskiej-Curie. Od 1924 r. do wojny mieściło się przy pl. Trzech Krzyży. W czasie okupacji nauczyciele prowadzili tajne nauczanie, którego efektem było przeprowadzenie egzaminów maturalnych. Do 1963 r. szkoła była gimnazjum żeńskim. Placówką z równie długą tradycją edukacyjną jest druga z wymienionych szkół, IV Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Powstało w 1897 r., jako gimnazjum męskie, z inicjatywy Emiliany Konopczyńskiej. Przed wojną mieściło się przy ul. Konopczyńskiego 4. Szkołę ukończyli m.in.: Stefan Starzyński, Jan Lechoń, Władysław Broniewski, Jan Nowak-Jeziorański. Por. *Historia szkoły*, [w:] *X Liceum Ogólnokształcące im. Królowej Jadwigi*, <http://www.xlowaw.x.pl/index.php?strona=item&lp=5> (dostęp 01.02.2016); *Historia szkoły*, [w:] *IV LO im. Adama Mickiewicza*, <http://www.mickiewicz4.pol.pl/200.html> (dostęp 01.02.2016).

¹⁴ Do przedwojennych przyjaciół rodziny Muszkowskich należał Jan Lechoń. Po wojnie – w Wielkiej Brytanii – przyjaźnił się z synem profesora – Krzysztofem. Por. M. Grydzewski, J. Lechoń, *Listy 1923–1956*, t. 1, Warszawa 2006, s. 176.

¹⁵ Zob. R. Jasiński, *Zmierzch starego świata. Wspomnienia 1900–1945*, s. 55–56: „[Marek Badior] żonaty z Simonówną (siostrą współwłaściciela znanego handlu win i restauracji Simon i Stecki, a też ministra pracy Gustawa Simona oraz doktora muzykologii Alicji Simon), dorobiwszy się znaczniejszej fortuny, bodajże na handlu bawełną na Bli skim Wschodzie, potrafił on, dzięki nie tylko niemałemu sprytowi, ale i rozsądkowi, dostać się do najlepszych sfer warszawskiego kupiectwa. Został również członkiem Resursy kupieckiej, a więc klubu bardzo dbałego o dobór swoich członków. Wprowadził go tam Aleksander Rajchman, jako ekwiwalent za pewną uczynioną mu finansową przysługę (...) Lecz Badior szybko się wyemancypował (...) Był nie tylko właścicielem pięknego domu położonego w najelegantszej dzielnicy miasta, w którym posiadał wielki luksusowy apartament, lecz i jego towarzyska pozycja stawała się coraz mocniejsza, Związany interesami z łódzkimi potentatami – Szajblerami, wkrótce po wojnie założył

z nimi Bank Międzynarodowy, instytucję, która przetrwał do 1935 czy 1936 (...) w owym banku, który był instytucją dosyć osobliwą, radcą prawnym był jeden z najciekawszych ludzi, jakich w życiu spotkałem, mecenas Zenon Śleszyński (zastąpił go zaś potem na tym stanowisku młody wówczas adwokat B. Winnicki, ojciec znanej aktorki). Kręciło się tam wokół Badiora sporo ludzi z tak zwanych najwyższych sfer, z księciem Franciszkiem Radziwiłłem na czele. Lecz to wszystko działo się już po wojnie. W 1911 czy 1912 mało mnie to obchodziło, zaś sam Badior imponował mi głównie jako właściciel amerykańskiego samochodu firmy Studebaker”.

¹⁶ Zob. R. Jasiński, *op. cit.*, s. 55–56. Jasiński wspominał też rodzinę Badiorów, w tym dziadka Joanny, Romana: „Owo przedstawienie *Uprowadzenie z seraju* (było to w październiku 1917 roku) utkwilo mi w pamięci też z innego, już nie czysto muzycznego powodu. Otóż byłem na nie zaproszony przez Tunia Kurmana i Romana Badiora, którzy zakupiwszy parterową łóż z dwoma innymi jeszcze kolegami uniwersyteckimi, raczyli mnie dopuścić łaskawie do swego grona. Bardzo czułem się tym zaszczycony (...). W owych to latach zadzierzgnąłem bliższe stosunki z Romanem Badiorem; stosunki, które zmieniły się szybko w długą i trwałą przyjaźń. Nasze zbliżenie ułatwiał zarówno fakt, że Roman mieszkał w Alejach Ujazdowskich naprzeciwko naszego domu, jak też to, że nasi ojcowie pozostawali ze sobą w stosunkach bliskiej zażyłości. O »starym« Badiorze już pisałem. Łączył w sobie godność starego rabina z eleganckimi manierami Europejczyka, dość zresztą świeżej proveniencji”. Ibidem.

¹⁷ Podczas otwarcia Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej „Jan Muszkowski: ludzie, epoka, książki. Polska bibliologia uniwersytecka w 60 lat od śmierci uczonego”, J. Muszkowska-Penson powiedziała: „Magnificencjo, Panie Rektorze, Szanowni Państwo, najpierw kieruję gorące podziękowania do wszystkich tych, którzy przyczynili się do zorganizowania dzisiejszej konferencji i do wszystkich biorących w niej udział. Nie muszę mówić jak wielkie, radosne i wzruszające jest to dla mnie przeżycie. Pamiętam dobrze maj 1945 roku, kiedy po powrocie z obozu, zastałam mego Ojca, który z wielką energią i zaangażowaniem współorganizował Uniwersytet Łódzki i przyświecało mu

marzenie utworzenia studiów [w zakresie] bibliotekoznawstwa. Miał już wówczas ponad 60 lat i przebyte dwa zawały serca. Nie jestem, niestety, bibliotekarzem, lecz czuję łączność z tym środowiskiem, urodziłam się bowiem w bibliotece a moje dzieciństwo i młodość upływały wśród bibliotekarzy. Było to środowisko specjalne, o wysokich walorach intelektualnych i wysokich standardach etycznych, z pasją do swego zawodu, i jeszcze, co jest ważne w każdych czasach, ludzi życzliwych sobie wzajemnie i solidarnych, Mój Ojciec, widziany z domu, dziś byłby uznany za pracoholika. Nigdy nie brał urlopów, nie odpoczywał. Po pracy w bibliotece Krasińskich, całe popołudnia spędzał na opracowywaniu kartek do kontynuacji *Bibliografii Polskiej* Estreichera. Gdy po 25 latach praca gotowa była do druku, spłonęła od bomby w czasie Powstania Warszawskiego, razem z niezwykle cennymi zbiorami z magazynów Biblioteki Krasińskich. Wykształcenie mego Ojca i jego rówieśników, stanowiło przedmiot zazdrości naszego pokolenia. Posługiwał się językami starożytnymi, łaciną i greką, nowożytnymi: niemieckim, francuskim, angielskim, oraz nie obce mu były osiągnięcia we wszystkich dziedzinach wiedzy. Trzeba przyznać jednak, że wiedza była znacznie uboższa od obecnej. Ojciec był osobą znaną, lubianą i potrzebną wszystkim mającym zawodowy kontakt z książką. Nie istniał Google, ani indeksy elektroniczne. Jan Muszkowski służył wielu informacją i radą dotyczącą piśmiennictwa, bibliografii, zasobu poszczególnych bibliotek i wielu innych spraw dotyczących książki. Był też znany z tego, że swoją wiedzą chętnie się dzielił. Był w bliskich stosunkach z pisarzami, dziennikarzami i uczonymi z wielu dziedzin. Ludzie ci mieli zwyczaj porozumiewania się ze sobą pisząc piękne, wielostronicowe listy, zastąpione obecnie, niestety, przez e-maile. Wspomnę jeszcze wyprawę z Ojcem po książki do księgarni Gebethnera i Wolfa czy Arcta. Otaczało go natychmiast grono tzw. subiektów, czyli młodych adeptów księgarskich, samouków, czytanych, uczniów Ojca, którym radził w sprawach dalszego kształcenia. To samo dotyczyło drukarzy, oraz innych pracowników książki. Stał się Ojciec o ich wysoki poziom profesjonalny i awans zawodowy. Najważniejszą sprawą dla Ojca, której poświęcił wiele pracy i wysiłku było utworzenie wyższych studiów akademickich dla bibliotekarzy,

najpierw na Uniwersytecie Łódzkim, a następnie w innych miastach uniwersyteckich w Polsce. Co, jak dziś można tu stwierdzić, zakończyło się wielkim sukcesem” (Łódź, 13 maja 2013 r.).

- ¹⁸ *Życie książki* – to najbardziej znana w dorobku Muszkowskiego książka o charakterze popularnonaukowym. Dotychczas była wydawana za życia autora dwukrotnie: w 1936 i 1951 roku. W 2015 ukazało się trzecie wydanie tego tytułu, zob. J. Muszkowski, *Życie książki. Edycja krytyczna na podstawie wydania z 1951 r. w opracowaniu Grzegorza Czapnika i Zbigniewa Gruszkę, ze wstępem Hanny Tadeusiewicz*. Łódź–Warszawa 2015.
- ¹⁹ „Tak się złożyło w ostatnich latach, że na dotychczasowy teren specjalizacji autora w zakresie bibliotekarstwa naukowego poczęły przenikać coraz żywiej zainteresowania oświatowe, jakby echa z lat młodych. Stało się to nade wszystko za sprawą współpracy z prof. Heleną Radlińską, inicjatorką i kierowniczką Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, oraz z p. Wandą Dąbrowską, kierowniczką Poradni Bibliotecznej Związku Bibliotekarzy Polskich”. Cyt. Za: J. Muszkowski, *Życie książki*, Warszawa 1936, s. [VII] oraz wyd. 2, s. 11.
- ²⁰ Gebethner i Wolff – jedna z największych firm wydawniczo-księgarskich w Polsce w XIX i XX w. założona w Warszawie w 1857 przez Gustawa Gebethnera (1831–1901) i Roberta Wolffa (1833–1910), następnie prowadzona przez ich synów. Do autorów firmy należeli klasycy literatury polskiej, m.in.: Reymont, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Konopnicka, Or-Ot, Nałkowska, Iwaszkiewicz, Parandowski, Makuszyński i Szelburg-Zarembina; historycy: Brückner, Askenazy, Korzon, Chmielowski i Szujski. Wydawnictwo posiadało także sieć księgarni: w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Wilnie, Krakowie, Zakopanem oraz w Paryżu. Po II wojnie światowej firma wznowiła swoją działalność wydając podręczniki szkolne i uniwersyteckie oraz kontynuując dawne serie, m.in.: „Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych”, „Biblioteka Młodzieży Szkolnej”, „Polska i Świat Współczesny” oraz edycje klasyków. *Encyklopedia wiedzy o książce*, Wrocław 1971, szp. 781–783.
- ²¹ Jan Muszkowski był znawcą i propagatorem pracy wydawców. We wspomnieniach rodziny Mortkowiczów zapisał się jako obrońca profesji i prestiżu wydawcy: „Są jeszcze dzisiaj ludzie przekonani głęboko,

że istnienie zawodowych wydawców jest rzeczą zbędną. Że są to intruzy wciskający się przemocą pomiędzy twórcę a publiczność z wyłącznym celem osiągnięcia zysków materialnych. (...) wydawca jest czynnikiem równie potrzebnym, jak każdy specjalista-fachowiec”. Cyt. za: H. Mortkowicz-Olczakowa, *Pod znakiem kłosa*, Warszawa 1962, s. 222.

- ²² Wiktor Ziajowski urodził się w 1872 r. Mimo słabego wykształcenia – ukończył cztery klasy gimnazjum – zalicza się do najwierniejszych i najlepiej zaznajomionych z księgozbiorem pracowników Biblioteki Ordynacji Krasińskich. Z placówką związał się w 1895 r. Przez 46 lat pełnił w niej funkcję woźnego, magazyniera, pracownika czytelní. Po włączeniu Biblioteki do *Staatbibliothek Warschau* – jako jedyny z przedwojennego personelu – nie stracił posady i zajmował się zaso-
bami kartograficznymi. Po wojnie pracował w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie. Zmarł w 1953 r. (H. Tchórzewska-Kabata, *Pod znakiem światła. Biblioteka Ordynacji Krasińskich 1844–1944*, Warszawa 2010, s. 121.)
- ²³ W latach 1908–1909 Jan Muszkowski prowadził zeszyt, w którym wklejał recenzje sztuk publikowanych w „Kurierze Polskim”, a wystawianych w warszawskich teatrach: m.in. w Małym, Wielkim, Nowym, Puchniewskiego w Bagateli, Nowości. 26-letni student zrecenzował ważniejsze sztuki polskie, brytyjskie, węgierskie i niemieckie scen warszawskich, m.in. *Ojca* A. Strindberga, *Żabusię* G. Zapolskiej, *Romeo i Julię* W. Szekspira, *Diabła* F. Molnara, *Tunel* F. Philippi’ego. Wykazywał się zwięzłością myśli i dobrą znajomością techniki pisania recenzji na potrzeby prasy. Swoje prace Muszkowski podpisywał kryptonimami „m” lub „Mm”. Łącznie zachowały się 23 wycinki.
- ²⁴ Towarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych – powołana w 1926 r. przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych organizacja służąca popularyzacji polskich osiągnięć w zakresie literatury i sztuki za granicą. Zob. *Statut Towarzystwo Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych*, Warszawa 1926.
- ²⁵ Powołana we wrześniu 1944 r. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, kierowana przez pełnego energii i pomysłów repatrianta ze Związku Radzieckiego, Jerzego Borejszę, była pierwszym dużym wydawnictwem

założonym po wojnie. Borejsza dysponował szerokimi kontaktami politycznymi i był pozytywnie nastawiony do przedwojennych literatów. Celem prowadzonej przez niego spółdzielni była działalność wydawnicza, oświatowa i propagandowa. „Czytelnik” wydawał książki i czasopisma. W 1948 r. łączny nakład periodyków osiągnął poziom 1,5 mln egzemplarzy. Rocznie „Czytelnik” wydawał około 300 tytułów książek. Najwięcej (336 tytułów o nakładzie 7,1 mln egz.) ukazało się w 1956 r. Spółdzielnia specjalizowała się w wydawaniu literatury pięknej; w 1946 r. ten typ publikacji stanowił 70% tytułów i 62% nakładów. Wydała książki m.in. A. Tolstoja, M. Szolochowa, A. Fiedlera, S. Szauglewskiej, J. Andrzejewskiego, K. Pruszyńskiego, E. Osmańczyka, S. Żeromskiego, J. Dobraczyńskiego, W. Żukrowskiego, J. Putramenta, Z. Kossak-Szczuckiej, Z. Nałkowskiej, W. Rymkiewicza, J. Zawieyskiego. Por. A. Bromberg, *Książki i wydawcy: ruch wydawniczy w Polsce Ludowej w latach 1944–1957*, Warszawa 1958, s. 42, 122–123; T. Góban-Klas, *Niepokorna orkiestra medialna. Dyrygenci i wykonawcy polityki informacyjnej w Polsce po 1944 roku*, Warszawa 2004, s. 94–95.

²⁶ Jerzy Borejsza w dniu 7 kwietnia 1946 r. zareagował na decyzję Jana Muszkowskiego wysyłając list: „Drogi p. Profesorze! List Pański zdziwił mnie bardzo. Podczas pobytu Pańskiego w Warszawie sam opowiadałem o projekcie przeniesienia Wydziału Centralnego do Warszawy. Umówiliśmy się, że ostateczny projekt zostanie z Panem uzgodniony. Tymczasem, opierając się na plotkach zechciał Pan napisać list którego przyjąć do wiadomości nie mogę, gdyż możemy zawsze znaleźć wspólny język i odpowiednie dla Pana stanowisko w Czytelniku. Z poważaniem [podpis odręczny: Jerzy Borejsza]. Źródło: Dokumenty osobiste Jana Muszkowskiego. List z dn. 7.04.1946. K. nlb.

²⁷ Zachowały się niepublikowane wspomnienia Muszkowskiego z czasów wojny, noszące tytuł *Warszawa niezniszczalna*. Oto ich fragment: „Miejscem, które wynurza się z mgły moich najdawniejszych wspomnień jest Plac Teatralny. Mieszkiałem wówczas z rodzicami i siostrami na rogu ulicy Senatorskiej, w staromodnej kamienicy, ozdobionej kolumnami, biegnącymi w dwóch kondygnacjach, na parterze i na pierwszym piętrze, wzdłuż ściany frontowej od placu. Brama znajdowała się natomiast przy ulicy Senatorskiej, oznaczona numerem dwudziestym

drugim. Brama ta, bardzo wysoka, długa, a zatem przy zamkniętych drzwiach ciemna, przypominała swymi rozmiarami bramy dawnych zajazdów, w których mijały się z łatwością dwie ładowne bryki. Na prawo było wejście na drewniane schody, szerokie, o licznych krótkich kondygnacjach, oświetlonych niedostatecznie małymi oknami, opatrzoneymi drewniana kratką, dochodząca do połowy ich wysokości. Z bramy wchodziło na podwórze, typowe warszawskie owej epoki, brukowane kocimi łbami, zarzucone rupieciami bez wyraźnego przeznaczenia, pożytku, ni kształtu, pełne ruchu i zgiełku wykonywanych tam rozmaitych zawodów, bieganiny i wrzasków dzieci uprawiających tam rozmaite zabawy, krzyków domokrażców, zachwalających swoje towary. Dźwięczy mi jeszcze w uszach przeciągła melopea: „Sekelejam szkoło, porceljany, fajans! Ljampy, kloszki, wazony do sekelejenia!...” Albo w zależności od pory roku: „Wągli, wągli do samowara, wągli...!” Czy: „Ziemia do kwiatów, ziemia...!” Pełno tam było drewnianych przybudówek, komórek, skrytek, służących do różnych niezbadanych celów, a nadających domowi od tej strony charakter arki Noego, mieszczącej w sobie okazy wszelkich gatunków stworzeń”. Cytat na podstawie maszynopisu z archiwum domowego Joanny Muszkowskiej-Penson.

²⁸ Polska Organizacja Wojskowa (POW) – tajna organizacja wojskowa założona z inicjatywy Józefa Piłsudskiego w 1914 r. Głównym celem działalności POW była walka zbrojna o niepodległość, szkolenie, działalność dywersyjno-wywiadowcza skierowana przeciwko Rosji. Od 1917 r. kierowana przez Edwarda Śmigłego-Rydza POW odegrała znaczącą rolę w trakcie formowania się niezawisłej państwowości polskiej w 1916–1918 r. Por. Polska Organizacja Wojskowa [hasło], [w:] *Wielka Encyklopedia PWN*, t. 21, Warszawa 2005, s. 552.

²⁹ Dnia 31 sierpnia 1939 r. „Wieczór Warszawski” pisał: „Położenie międzynarodowe zmienia się z godziny na godzinę. Między stolicami państw europejskich krążą telefony i listy. To, co było informacją najważniejszą, staje się po chwili wiadomością przestarzałą. W tych warunkach należy podkreślić tylko rzeczy istotnej wagi. Rzeczą istotnej wagi są niesłychane prowokacje niemieckie w Gdańsku, których punktem kulminacyjnym jest obsadzenie dworca i przerwanie ruchu polskich kolei, prowokacje wzdłuż granicy oraz obsadzenie Słowaczyny.

Rzeczą istotną jest jednomyślna niemal w całym świecie fala oburzenia przeciwko Niemcom, przy czym nikt już nie ma wątpliwości, że w razie ewentualnego wybuchu wojny, jedyna i wyłączna odpowiedzialność spadnie na Rzeszę. W szczególności prasa amerykańska w niesłychanie ostrych słowach atakuje Niemcy, nazywając wprost Hitlera gangsterem. W chwili obecnej nie ma jeszcze żadnej pewności, jak się może rozwinąć sytuacja w najbliższych godzinach. Przeciw wojnie przemawia odosobnienie Niemiec i przewlekane się rokowań angielsko-niemieckich. Za wojną natomiast przemawiają niebывałe prowokacje niemieckie i zarządzenia wojskowe Niemiec o zupełnie niedwuznacznym wojennym charakterze. (...) Czy wypadnie nam się bić za godzinę, za tydzień, czy też odzyskamy naruszone prawa bez wojny – w każdym wypadku naród polski (...) da z siebie wszystko, na co go stać i łącząc chłodną i planową rozwagę z najwyższym poświęceniem, walczyć będzie aż do zwycięstwa o swoją niepodległość i panowanie w świecie moralności chrześcijańskiej”. Źródło: „Wieczór Warszawski”, 31 sierpnia 1939, nr 246, s. 1.

³⁰ J. Ladorucki: *Pozostawałem w kręgu książki... Rozmowy z profesorem Januszem Duninem o bibliologii, medioznawstwie i zwyczajnym życiu*, Łódź 2007.

³¹ Prapremiera komedii odbyła się w Teatrze Narodowym w Warszawie 27 lutego 1925 r.

³² Zwolnienie w dniu 1 grudnia 1935 r. ze stanowiska dyrektora Biblioteki Ordynacji Krasieńskich nie mogło pozostać bez wpływu na życie i zdrowie Jana Muszkowskiego, co potwierdzają opinie jego współpracowników i przyjaciół. Marian Łodyński tak zapamiętał spotkanie z Muszkowskim w 1938 r.: „Ale istotnie Muszkowski uczynił na mnie przykre wrażenie: stan jego nerwowości jest niepokojący; to jest człowiek załamany, człowiek, który – jak mówi – »przegrał swą stawkę życiową«. (...) gdy napierałem na niego i starałem się przekonać go o konieczności wzięcia udziału w Kursie [tj. do prowadzenia Kursu Bibliotekarskiego] – to walczyłem z jego nastawieniem, jak bym walczył z sobą za jaki rok, czy dwa lata, tzn. gdy człowiek już całkiem skapituluje stwierdziwszy, że po wygraniu swojej skomplikowanej melodii, już jest poza nawiasem. Patrząc na niego – widziałem siebie i broniłem

swego w niedalekiej przyszłości nastawienia. Trzeba sobie przecież powiedzieć, że zbliża się już czas na likwidację, tj. na rachunek końcowy, po którym już idzie się do – lamusa”. Cyt. za: M. Dembowska, *Bibliotekarstwo polskie 1925–1951 w świetle korespondencji jego współtwórców*, Warszawa 1995, s. 167, s. 199, przyp. 169.

- ³³ Jakub Mortkowicz (1876–1931) – wydawca i księgarz. W latach 1895–1898 studiował nauki społeczne i przyrodnicze w Monachium, ukończył Akademię Handlową Antwerpii. Działalność wydawniczą rozpoczął w 1906 roku pod szyldem księgarni Centnerszvera. W 1906 r. wspólnie z B. A. Jędrzejowskim i K. Praussem założył w Warszawie Towarzystwo Wydawnictw Ludowych, później przekształcone w Towarzystwo Wydawnicze. W 1910 roku zaczęły ukazywać się pierwsze tomiki ze znakomitej serii „Pod Znakiem Poetów”, w której wydawano autorów współczesnych i klasycznych. W 1915 roku Mortkowicz, niezależnie od swojej działalności wydawniczej, otworzył słynną w Warszawie księgarnię przy ul. Mazowieckiej 11, specjalizującą się w wydawnictwach artystycznych. Wiele książek wydawanych przez Mortkowicza uzyskiwało nagrody i wyróżnienia na krajowych i zagranicznych wystawach pięknej książki. Źródło: *Encyklopedia wiedzy o książce*, red. A. Birkenmajer, B. Kocowski, J. Trzynadłowski, Wrocław 1971, s. 1565–1568; *Słownik Pracowników Książki Polskiej*, red. I. Treichel, Warszawa–Łódź 1972, s. 603–606.

- ³⁴ „Nazajutrz, jak zwykle, wyszliśmy rano z bloku na apel liczebny. Dzień wstawał gnuśny, mglisty, zimny. Po obozie rozeszła się nagle wiadomość, że na apelu obecna będzie oberynka i komendant. Pomyślałyśmy, że będzie na pewno ogłoszenie kart, w związku z wczorajszym zajściem. Po przeliczeniu przez aufzejerki wszystkich bloków, zaczęła chodzić oberynka z komendantem. Stawała przed blokiem i mówiła krótko do zebranych tam więźniarek: »W związku z wczorajszym zajściem, chcę wam powiedzieć, że tym razem unikniecie kary dlatego, że było to po raz pierwszy. Mam nadzieję, że podobny wypadek nie powtórzy się. Pamiętajcie, że jesteście w obozie koncentracyjnym. Ostrzegam was, że każde następne usiłowanie wszczęcia jakiegokolwiek buntu będzie karane śmiercią. Dzięki wyrozumiałości władz obozowych, tym razem dajemy wam surową naganę. Możecie wejść

do bloku”. Wiedzialiśmy dobrze, że »wyrozumiałe władze obozowe«, to znaczy ona jedna [Langefeld], nikt więcej.(...) Ci niemieccy bandyci nie mogli znieść obecności jednego przyzwoitego człowieka wśród nich. Człowieka, który nie kradł, a oni kradli, który nie mordował, a oni mordowali. Była im niewygodna i niepotrzebna. Trzeba było pozbyć się jej za wszelką cenę. Tego samego dnia, co Langefeld, aresztowano również Polkę pracującą w biurze politycznym (...)”. Źródło: M. Woźniakówna, *Obóz koncentracyjny dla kobiet Ravensbrück*, Poznań 1946, s. 62–63.

³⁵ „Pod koniec strasznego dnia, z perspektywą podobnego następnego, chór »małolatków« przenosił cały blok w uroczę krajobrazy stron rodzinnych, a następnie oddawał wszystkich z ufnością w opiekę Bożą. Sen potem był na pewno spokojniejszy, a nazajutrz (niedziela), zamiast wszystkich innych uczt, miałyśmy zapewnioną ucztę duchową na kursach uniwersyteckich z historii, prowadzonych przez mgr Wandę Kiedrzyńską. W najgorszych momentach, gdy wiele koleżanek straciło najbliższych lub żyło w ciągłej o nich trwodze, pani Ewa Łaska w kunszcie opowiadała nam tak wiernie i pięknie, jakby czytała z otwartej książki *Popioły* lub *Annę Kareninę*, przenosząc nas w inny świat. Mogła to robić, bo czuwała wtedy nad nami nasza opiekuniczka kolonka Siasia Schöneman-Łuniewska”. Źródło: U. Wińska, *Zwyciężyły wartości. Wspomnienia z Ravensbrück*, Gdańsk 1985, s. 131.

³⁶ Rada Główna Opiekunów (RGO) – przedwojenna organizacja społeczna opiekująca się więźniami, początkowo tolerowana przez Niemców.

³⁷ Po 40 latach Joanna Muszkowska pisała: „Ludzie w obozie szczerze dawali wszystko, co mieli, dzielili się zapamiętaną wiedzą, myślami, obdarzali uczuciami. Chłonęło się to wszystko łatwo nie wiadomo od kogo, wzbogacając i kształtując siebie. Dlatego dziękuję wszystkim, którzy uczyli mnie żyć”. Źródło: U. Wińska, *op. cit.*, s. 361–362.

³⁸ Cicely Saunders (1918–2005) – lekarz, organizatorka Hospicjum Św. Krzysztofa w Londynie, twórca medycyny paliatywnej. W 1981 r. opublikowała książkę: *Hospice: The Living Idea*.

³⁹ „Rok 1983, rok założenia Hospicjum Pallottinum – pisze Joanna Muszkowska-Penson – nie był łatwym okresem naszych dziejów. Był

stan wojenny, konieczność pomocy więzionym i ukrywającym się. Dla wielu z nas, w tym dla Księdza Dutkiewicza, okres inwigilacji, rewizji, a nawet krótkotrwałego aresztowania. Ksiądz bowiem w tym czasie pełnił funkcję łącznika w strukturach »Solidarności« między ukrywającymi się a Komisją Krajową. Wielu ówczesnych hospicjan współpracowało z Księdzem również w działaniach konspiracyjnych. Na zebrania grupy hospicyjnej gościny udzielał Pallotyński dom zakonny przy ulicy Curie-Skłodowskiej. Omawiano sprawy chorych, radzono się, rozdzielano dyżury, wymieniając między sobą podziemną prasę i literaturę tzw. »drugiego obiegu«. Źródło: J. Muszkowska-Penson, *Wspomnienia*, [w:] P. Krakowiak, *Dzieje pallotyńskiego Hospicjum w Gdańsku 1983–2008*, Gdańsk 2008, s. 149.

⁴⁰ Zawodowe relacje profesor Joanny Muszkowskiej-Penson z ks. Eugeniuszem Dutkiewiczem oraz stosunek do chorych najlepiej przedstawiają następujące słowa kapłana: „Dla mnie Joanna, którą osobiście poznałem bliżej w 1981 roku, była pewną fascynacją jako człowiek, który kocha, kocha przede wszystkim chorego. Jakby całe drżenie jej osobowości to drżenie wynikające z głębokiej wrażliwości i nastawienia na człowieka”. Źródło: P. Krakowiak, *Dzieje pallotyńskiego Hospicjum w Gdańsku 1983–2008*, Gdańsk 2008, s. 25.

⁴¹ W *Drodze do wolności* Lech Wałęsa napisał: „Pytano mnie kiedyś, dlaczego pozwałam się leczyć kobiecie, jeśli w sprawach płci jestem tradycyjnistą? Odpowiedź mam jedną: medycyna to pomoc człowiekowi, ulga w cierpieniu, a dobroć chyba mocniej związana jest z kobiecością. Mężczyźni polują, robią wojny, więc nie mogą być delikatni. Poza tym pani profesor jest niezwykła. Gotowa pójść na każde wezwanie do kogoś potrzebującego pomocy. Od początku 1982 roku była zaangażowana w pracy diecezjalnej komisji charytatywnej, działającej w Gdańsku przy kościele świętej Brygidy. Zespół służby zdrowia pod jej kierunkiem przeprowadził badania wszystkich internowanych i więzionych oraz członków ich rodzin. Wtedy i ja znalazłem się pod troskliwą opieką pani profesor, która stała się z czasem przyjacielem mojego domu. Mówi o sobie „staruszka”, a jest tak pełna energii i zaangażowania, że mógłby jej pozazdrościć każdy młokos. To ona jako jedna z pierwszych przyszła do strajkujących stoczniowców w maju i sierpniu 1988 roku,

a potem czuwała nad naszym zdrowiem, śpiąc na podłodze, na styropianie. Za swoją postawę – poza normalnymi szykanami – płaciła cenę niewidywania się z jedyną córką, która mieszka w Anglii, lub niemożnością wyjeżdżania do Francji, na zaproszenie Stowarzyszenia Byłych Więźniów Obozu w Ravensbrück”. Źródło: L. Wałęsa: *Droga do wolności. 1985–1990, Decydujące lata*, Warszawa 1991, s. 265.

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 665 58 63